№ 51 Piątek, dnia 17 Września 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE

Tygodnik

WARSZAWA dnia 5 (17) Września 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
" " na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Ś-to Jerskiej Nr. 1769*b*. (nowy 12) róg Nowiniarskiej.

OD REDAKCYI.

Przed rokiem, wskrzeszając zawieszone chwilowo wydawnictwo **Ogniska Domowego**, odwoływaliśmy się do Publiczności z prośbą o poparcie naszych usiłowań, jakieśmy podjąć zamierzali dla uczynienia naszego tygodnika pismem rzeczywiście zajmującem i pożytecznem dla szerszego koła czytelników. I nie zawiedliśmy się w oczekiwaniach naszych. **Ognisko Domowe** od pierwszych zaraz numerów zdołało zyskać dla siebie sympatyą prasy peryodycznej i względy czytającej Publiczności, a liczba jego prenumeratorów wzrastała z każdym miesiącem. To poparcie, jakiego doznaliśmy od naszych Czytelników, dozwoliło nam od 1 kwietnia r. b. powiększyć rozmiar **Ogniska** przez dołączanie do każdego numeru stałych powieściowych dodatków, oraz poczynić inne zmiany w wydawnictwie, które Czytelnicy nasi przyjęli z zadowoleniem.

Obecnie, po roku istnienia, mając już dzięki coraz większemu poparciu ze strony naszych Prenumeratorów, byt stanowczo na przyszłość zapewniony—nie myślimy ani na chwilę ustać w naszej pracy, mającej na celu ciągłe dążenie ku lepszemu.

Ognisko domowe w obszernym zakresie zatwierdzonego dlań przez Władzę programu zdążać będzie nadal ku temu, aby stać się **pismem rodzinnem** w całem szlachetnem i obszernem znaczeniu tego wyrażenia. Nowi współpracownicy, zaszczytnie znani na polu piśmiennictwa naszego, powołani świeżo przez Redakcyą, chętnie i życzliwie przyrzekli swoję pomoc i poparcie. Listę ich nazwisk zamieścimy w **obszernym prospekcie**, który w krótce opuści prasy drukarskie.

Pomimo chwilowego opóźnienia się kilku numerów, **Ognisko Domowe** wychodzić będzie w dalszym ciągu bez żadnej przerwy, a w jaki sposób Redakcya zamierza rozwinąć wszystkie jego działy, — za pomocą jakich środków pragnie uczynić je coraz bardziej zajmującem i użytecznem — obszerniej i dosadniej opowie mający się w krótce ukazać **prospekt**.

Redakcya poleca **Ognisko Domowe** opiece pań naszych. Będzie bowiem jej staraniem podawać w tym tygodniku zdrową, posilną i o ile możności wykwintną umysłową strawę, zastosowaną do potrzeb rodzinnego kółka, którego ciepłym i żywotnym organem pragnie zostać **Ognisko Domowe**.

Prenumerować można **Ognisko Domowe** we wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych tak w Warszawie jak i na prowincyi, ponieważ jednak Ognisko Domowe z dniem 1 października r. b. przechodzi na własność Jana Noskowskiego, współwydawcy gazety „Wiek," przeto prenumeratę **najlepiej** przesyłać pod adresem **Kantoru Drukarni Jana Noskowskiego** w Warszawie, ulica Mazowiecka Nr. 11.

Prenumeratorowie **Ogniska Domowego** posiadać będą prawo do znacznie zniżonej przedpłaty na **Bajki Lafontaine'a** w nowym polskim przekładzie z pysznemi rysunkami słynnego **Gustawa Doré**, które nakładem i staraniem **Jana Noskowskiego** wychodzić zaczną od 1 grudnia r. b. w nader ozdobnem i wykwintnem wydaniu.

Cena tego dzieła, które w całości obejmie około 930 stronic druku z 85 wielkiemi in 4-o rycinami i 500 mniejszemi rysunkami, dla **nie prenumerujących Ogniska Domowego** wynosić będzie w Warszawie rs. 16, a z przesyłką pocztową rs. 20. Warszawscy zaś **prenumeratowie Ogniska Domowego** będą mogli otrzymać **Bajki Lafontajne'a za rs. 11** lub też nabywać je zeszytami, których będzie razem 58 a wyjdą w ciągu roku jednego licząc od dnia 1 grudnia r. b. płacąc za każdy zeszyt **po kop. 20. Prenumeratorowie** na prowincyi otrzymają **Bajki Lafontaine'a za rs. 14** i opłatę na nie przesyłać mogą wraz z prenumeratą na **Ognisko Domowe**, która w takim razie wynosić będzie łącznie z przepłatą na **Bajki rs. 5** kwartalnie.

NA MYLNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA.

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg. — Patrz w Numer 50).

VI.

Biegły tak dnie i tygodnie dla Wandy pełne, urozmaicone coraz nowym powabem, nową zdobyczą, wśród których krok za krokiem szła naprzód, usuwając przeszkody i zdążając do celu.

Świat słał jej pod nogi hołdy i pochlebstwa, mężczyzni otaczali ją uwielbieniem a wielu nawet miłość niosło jej w dani. Ona hołdy, uwielbienie i miłość nawet przyjmowała chło-

dno, ale nie obojętnie, dla niej to wszystko były trofea zwycięztw, które torowały jej drogę do samoistnego działania, którego całem swojem jestestwem gorąco pragnęła.

Annie smutno było i pusto wśród wiru zabaw i tłumu Warszawy; jak słowik w klatce tęskniła za swobodą wiejskiego życia, za zielenią lasów i kwiatami pól swoich rodzinnych; powietrza jej brakło wśród ciasnych murów wielkiego miasta, i nieraz z pośród świetnego balu jej myśl tęskna biegła w stronę Zalesia, tam gdzie było wszystko, co stanowiło jej życie prawdziwe. Anna też była niezmiernie powabna i mogła jednać sobie uznanie ogólne, ale powab jej i uznanie jakie zyskiwała, były zupełnie w innym rodzaju jak te, które wywoływała Wanda.

Jasna blondynka, zgrabna i niezmiernie szykowna w układzie całej postawy, jeżeli na pierwszy rzut oka nie uderzała w sposób imponujący, to za to, gdy raz kto na nią zwrócił uwagę, już wzrokiem gonił za nią nieustannie w tłumie, pociągnięty niezwykłą sympatyą; miała ona jakiś niewysłowiony wdzięk prawdziwej kobiecości, łagodny i spokojny, co otaczał ją całą urokiem dziwnie czarownym. Znać nie była stworzona na to, ażeby jaśniała gwiazdą w salonie, deptała po tłumie wielbicieli i odbierała głośne oklaski i hołdy ogólne; nie była biegłą w szermierce salonowej pogadanki, ale myśl zdrowa i jasna dawała pogląd prosty i głęboki, który rozmowę jej czynił rozumną i treściwą, tak że ktokolwiek zbliżył się od niej i pomówił chwilę, już potem sam jej towarzystwa szukał, znajdując w niem powab niezwykły i z prawdziwą rozkoszą rzeźwiał prawdą serdeczną, co wiała z każdej myśli i słowa uroczej dziewicy. Więc kiedy Wandę otaczały całe tłumy wielbicieli, Anna nie wielki miała ich zastęp, lecz zato wszyscy co ją ocenili mieli dla niej cześć głęboką, prawdziwą i w niejednej piersi drgnęło żywsze uczucie; ale Anna nie zwracała na to uwagi i nieśmiałych objawów uwielbienia nie zdawała się widzieć nawet; w jej serduszku było już na dnie ukryte głęboko uczucie, które przed sobą samą kryła z wysiłkiem, samorodne a silne, co jej duszę wypełniało,—przed niem cofały się wszystkie inne wrażenia.

* * *

Karnawał się kończył, miasto wrzało zabawą, której szał jak prądem przebiegał wszystkie klasy ludności, porywając wszystko co żyło w wir ogólnej ochoty. Publiczne bale i maskarady tłumne, prywatne mniej liczne, ale zato weselsze i swobodniejsze, gromadziły towarzystwa, grupowały koła sympatyczne sobie i dawały szerokie pole do uciechy coraz bardziej odurzającej. Ruch miejski zmienił zwykły swój tryb. Z rana ulice były puste i ciche, po chodnikach przebiegali szybko ci tylko, którym troska o chleb powszedni, kazała zapomnieć, że są dnie w roku, w których innym los łaskawy pozwala wypocząć rozkosznie po trudach pracy. Szczęśliwi tymczasem w sennem marzeniu raz jeszcze odtwarzali sobie mgliste wspomnienia wczorajszej uciechy. Z południa dopiero miasto nabierać zaczynało życia, które stopniowo wraz zzapadającym zmrokiem przechodziło w hałaśliwy wir szału, co z brzaskiem dnia zaledwie uspokajał się na chwilę.

W przedostatnim tygodniu wieczorem, po zapełnionej ulicy — Nowy-Świat — pędem strzały toczyła się dorożka. Dorożkarz z mistrzowską zręcznością wywijał się pomiędzy tłumem we wsze strony spieszących powozów, błyskających migotliwem światłem latarni. W dorożce siedział młody mężczyzna, a z niecierpliwych ruchów, z jakiemi co chwila wychylał się patrząc naprzód, znać było że mu się spieszyło do celu. Dorożka zatrzymała się w pędzie przed domem gdzie mieszkała pani Gasztołdowa, młody człowiek wyskoczył szybko i pobiegł na schody.

Pani Gasztołdowa przyjmowała gości. W salonie urządzonym skromnie ale z gustem znajdowało się kilkanaście osób; przy głównym stole siedzieli poważniejsi z towarzystwa; Wanda tylko co grać przestała i siedziała jeszcze przy fortepianie, około niej stało kilku z młodzieży, a każdy usiłował w jakikolwiek bądź sposób zwrócić na siebie uwagę pięknej czarodziejki, która jakby na przekór nikogo nie wyróżniała a wszystkich zarówno obrzucała czarem giętkiej rozmowy i przenikającego spojrzenia. Piękna dziewica była ożywiona, dowcipem władała dowolnie i rozmowę prowadziła z łatwością i swobodą, jaką daje umysł bystry. Anna chodziła po pokoju pod rękę z młodą i przystojną szatynką, panną Amelią, z którą ze wszystkich znajomych tu panien najwięcej sympatyzowała, bo Amelia również jak ona była wieśniaczką i jak ona za wsią tęskniła i także po naukę przybyła z matką do Warszawy. To pobratymstwo towarzyszących okoliczności i uczuć wiązało z sobą młode dziewczęta i najlepiej im było razem. Obok nich chodził mężczyzna lat średnich, pięknej postawy i rozumnego wyrazu twarzy, jeden z cichych ale głębokich wielbicieli Anny.

W przedpokoju ozwał się dzwonek—Michał lokaj wszedł i zbliżywszy się do pani Gasztołdowej powiedział coś z cicha.—Pani Gasztołdowa porwała się z żywą radością.

— Ależ prosić, rozumie się prosić—powiedziała głośno—i pospieszyła ku drzwiom, ale przechodząc zbliżyła się do córki i szepnęła słów parę—Anna pobladła—drzwi się otworzyły i stanął w progu Janusz. Pani Gasztołdowa, odstępując praw etykiety, u samych drzwi spotkała młodego człowieka i powitała go serdecznie, jak własnego syna, z nim jakby cząstkę ukochanego światka swego ujrzała, a może istotnie dla niego coś z macierzyńskiego uczucia w niej się odezwało—i przedstawiła go gościom:

— Pan Janusz Zadora—nasz sąsiad i jeden z najlepszych naszych przyjaciół

Janusz chociaż przybył z prowincyi, nie miał wszakże pozoru zapleśniałego wieśniaka i na eleganckiem tle znajdującego się w salonie towarzystwa nie raził wcale.

Młody Zadora oddawszy ukłon ogólny i uścisnąwszy zimną jak lód rączkę Anny, obrzucił najspokojnym wzrokiem salon szukając Wandy; ale dojrzeć jej nie mógł tak była otoczona dokoła, a i ona zajęta rozmową nie spostrzegła przybycia Janusza; Anna podeszła do fotepianu i oznajmiała jej to; koło otaczające Wandę rozsunęło się cokolwiek i Janusz postępując zbliska za Anną mógł po raz pierwszy widzieć swoją bogdankę w całym blasku nowej jej krasy, nowego jej panowania. Wanda na wieść o przybyciu Janusza odwróciła się niecierpliwie, ale wcale nie radośnie; na wyrazistej jej twarzy przebiegł nawet jakby cień nieukontentowania, którego pohamować na razie nie mogła. Janusz był dla niej w tej chwili wyrzutem sumienia; myśl o nim, już oddawna pod wpływem różnorodnych wrażeń, uleciała z jej serca, a raczej głowy. Przechyliła się na poręcz krzesła i wyciągnęła rękę na powitanie.

— Witam pana, niespodziewanego gościa, powiedziała z zimnym uśmiechem.

Januszowi krew uderzyła do głowy; przybycie jego nie powinno było być niespodziewanem dla Wandy, sama przed wyjazdem z Zalesia rzuciła mu myśl żeby na ostatki przyjechał do Warszawy, on się tej myśli uchwycił, przyrzekł święcie wolę ukochanej spełnić i dziś stawił się na słowie.

— Prawdziwie spadłeś nam pan jak z deszczem, dodała jeszcze nielitościwie.

— Nie widzę ażeby horyzont tutejszy miał być zachmurzonym, odpowiedział młody człowiek zdobywając się z trudnością na słowo.

— O wcale nie, dotąd nam tu bardzo jasno.

U OGNISKA.

(T.T.) Szanowny wasz sługa uniżeni czytelnicy.. chciałem powiedzieć, *uniżony* sługa *szanowni* czytelnicy, ma obok stałej przyjemności: pisania dla was co dwa tygodnie felietonu, inną jeszcze przyjemność: udzielania lekcyi literatury i jęz. polskiego młodej pewnej piękności, bystre-nader rozumku i większej jeszcze ciekawości (piękności! ciekawości!... składam wyraźnie wiersze!) która, że jest właśnie młodą i ciekawą, lubi najnaiwniej w świecie zadawać mi podczas tychże lekcyi pytania, nie będące często w żadnym a przynajmniej w bezpośrednim związku z przedmiotem, o jakim z nią doraźnie traktuję. Otóż, wczoraj, gdy wykładałem jej prawidła stylu poetycznego, przykłady na to com mówił przytaczając naturalnie z tłomaczenia „Hermana i Doroty" pana Jenikego, którego, (oj, wiersze znowu!) za najpierwszego poetę uważam,—zostałem nagle zagabnięty pytaniem: „Proszę pana, niech mnie pan raz dobrze objaśni, co to jest felietonista?"

Zdawałoby się, iż człowiekowi tyle co ja mądremu, człowiekowi przytem co sam pisze felietony, odpowiedź na podobne pytanie najmniejszej by nie powinna przedstawiać trudności. Powiedzieć poprostu: „Felietonista, widzisz pani, jest to człowiek taki a taki," podobnież jak się określa każdy inny przedmiot — powiedzieć: „jest to pracownik literacki, który..."—powiedzieć: „takie a takie są jego cechy, przymioty, takie wady" etc... ot i wszystko. Tak pomyśli każdy z was zapewne—tak zdawałoby się koniecznie, powiadam. Czy dacie jednak wiarę, drodzy czytelnicy, że ja, po półgodzinnej z moją panną rozprawie, używając wyrażeń najbardziej dobranych do przedmiotu, najpopularniejszych i najmniej zawiłych,—nie mogłem jej jednakże jak się należy wytłomaczyć: co zacz właściwie za zwierzę jest dictus felietonista?

Powiedziałem pomiędzy innem np., że jest to bydlę, bardzo robocze, trochę genialne, którego jedynem zadaniem jest: pisać na termin artykuły kilkoszpaltowe o wszystkich głupstwach, jakie tylko w ciągu dwóch lub jednego tygodnia, uda się popełnić po świecie dobrym ludziom... Więc o tem, że tu i owdzie grano „Księżniczkę Trebizondy," a że masa publiczności była na przedstawieniu—że taki a taki poeta napisał nowy poemat, wiedząc doskonale, że poezyi dziś nikt nie czyta — że takie a takie pismo dało uczony artykuł, w którym jest więcej błędów ortograficznych niż wyrazów—że powzięto na zebraniu jakiemś projekt, którego ani myśli ktoś w czyn wprowadzić—że p. Kotarbiński pracuje nad nową krytyką, lepszą od tej jeszcze, którą

— Pani mówisz dotąd, alboż co grozi cieniem tej jasnej pogodzie? wymówił Janusz i usta mu zadrgały.

— A któż może odgadnąć co i kiedy zachmurzyć nam zechce pogodę naszych dni, mówię tylko, że mi tak dobrze jak jest i nie chciałabym, ażeby się coś w mojej obecnej sytuacyi zmienić miało, i spojrzała na Janusza tak wymownie, że mu tchu w piersi zabrakło. Anna poczerwieniała oburzeniem i w tej chwili cała przepaść oddzieliła ją od towarzyszki lat dziecinnych, zbliżyła się do Janusza, wzięła go śmiało za rękę i patrząc mu w oczy słodko, znać chciała mu złagodzić ból jakiego doznał, powiedziała serdecznie:

— O jakżeś pan dobrze zrobił żeś do nas przyjechał, przywiozłeś nam z sobą ciepła i prawdy bez których nam tu chłód serce przejmuje.

— Podobno już nawet zmroził je całkowicie, poszepnął Janusz i ścisnął rączkę dziewczęcia na podziękowanie za współczucie, które zrozumiał.

— O nie wierz pan temu, zawołała gorąco Anna, prawdziwe ciepło uczuć zanadto głęboko w sercu bierze swe źródło, ażeby zewnętrzne wpływy, jakkolwiek zimnem przejmują, tak łatwo do szczętu zmrozić je mogły.

Wanda szyderczo się uśmiechnęła, od niechcenia wzięła parę akordów i przemówiła parę słów uprzejmych do młodego wyświeżonego bruneta, co stojąc opodal wyczekiwał cierpliwie jej łaskawego spojrzenia, młodzieniec skwapliwie pospieszył z odpowiedzią i przybrawszy wdzięczną pozę, wsparty o fortepian wszczął rozmowę, którą Wanda od razu prowadziła z właściwą sobie werwą. Januszowi zawrzało w piersi, odpowiedział Annie.

— Powiedziałaś pani, że uczucia głęboko w sercu biorą swoje źródło, ale na to potrzeba mieć serce.

Anna nie umiała się zdobyć na odparcie zarzutu, ale usiadła z Januszem na boku, a usiłując zatrzeć o ile można bolesne wrażenie pod jakiem pozostawał, zarzuciła go pytaniami o matkę, o Stary Dwór, znajomych i tak szczebiotała wesoło, serdecznie, że biedak mimowolnie orzeźwiał cokolwiek a patrząc w śliczne niebieskie oczki, w których było tyle szczerości i uczucia odetchnął i lżej się mu jakoś na sercu zrobiło; każde słowo ślicznej dzieweczki drgające świeżem prawdziwem ciepłem odbijało się w jego sercu i rozgrzewało je stopniowo i mniej srogiem, robiło rozczarowanie, bo uczuwał, że nie wszystko jeszcze wystygło. Tego wieczora nie zbliżył się już więcej do Wandy, która jakby umyślnie przed nim roztaczała wszystkie swoje zasoby powabu i inteligencyi, któremi jak zwykle umiała zapanować nad całem towarzystwem a dla niego nie okazywała najmniejszej uprzejmości. Janusz coraz więcej zajęty miłą pogadanką z Anną jakby nagle zobojętniał, nie zdawał się nawet zwracać na nią szczególnej uwagi i chwilami widząc jak nagle opadły wszystkie jego błogie złudzenia, jak wiara jego zdeptaną była, sam nie umiał zdać sobie sprawy dla czego nie cierpi wcale. Są chwile w życiu człowieka gdzie cierpienie dochodzi do takich krańców, że się na razie traci poczucie bólu. Lecz kiedy Janusz późną nocą powrócił do hotelu i znalazł się sam jeden w swoim pokoju, wtedy stanął załamawszy ręce z boleścią na gruzach własnych nadziei szczęścia, przecudnych marzeń, które mu nagle jakby za dotknięciem rószczki złego geniuszu w jednem mgnieniu oka rozsypały się w nicość; wtedy to dopiero ból straszny pierś mu szarpać zaczął. Wiele jest rodzajów cierpień i srogich katuszy, które szarpią duszę człowieka; ale — jednem z najsroższych jest to, kiedy istota, u której stóp kładliśmy ze czcią wszystko czem dusza nasza była bogata, nagle ukaże się naszym oczom odarta z zacności, odziana we wstrętne łachmany nicości moralnej, kiedy ujrzymy, że najdroższe skarby naszego ducha, naszych uczuć, rzuciliśmy marnie pod stopy niegodne. O! wtedy straszna rozpacz serce ogarnia i żal tych zatraconych skarbów, tych zmarnowanych uczuć, które niby na urągowisko, niby gorzki wyrzut za ślepotę stają przed nami w całej swej bohaterskiej świeżości i blasku. Janusz miotany był taką męczarnią; Wanda ta gwiazda jego przewodnia zgasła mu nagle, ciemno i pusto zrobiło się straszliwie w jego duszy; idealne bóstwo jego, ta czysta dziewica-bohaterka strzącona z piedestału na którym w jego wyobraźni stała otoczona aureolą powagi niezwykłej i ukazała mu się w roli prostej salonowej lalki zdobywającej nie cześć i zasługę jak ją sobie wyobrażał, ale hołdy i oklaski tłumnej gawiedzi — i żal mu było tych pierwszych uczuć tak wzniosłych i czystych, które jej był złożył w ofierze. Zrazu, ochłonąwszy cokolwiek z pierwszej boleści chciał uciekać daleko od tej otchłani, która pochłonęła na zawsze jego cudne złudzenia, pragnął co najprędzej znaleść się po za murami Warszawy, której atmosfera dławić go się zdawała, sądził że mu lżej będzie gdy się znajdzie w samotnej zaciszy, że mu łatwiej będzie uśmierzyć ból, który mu targał serce wzburzone—sięgnął ręką do dzwonka, ażeby zawołać o konie pocztowe, ale godziwa duma ozwała się w nim o swoje prawa. Nie, powiedział sobie, zostanę, Wanda nie powinna tryumfować, nie powinna wiedzieć o tem ile cierpię, nie powinienem pozwolić się deptać; ona zdziera z siebie idealną szatę zacności, przestaje być kobietą, nie mogę więc bez poniżenia uchylić przed nią głowy; dziś już nie jest ona wyższą duchem odemnie, nie stoi nawet na równi, nie jest kobietą, którąbym mógł czcić jak świętość i nie jest mężczyzną, z którymbym mógł stanąć do równej walki; stała się jakąś anomalią, przed którą korzyć się nie godzi. I został—a nazajutrz około południa, wyświeżony i na pozór swobodny zadzwonił do mieszkania pani Gasztołdowej. Stary Michał, aż się roześmiał radośnie kiedy go zobaczył.

— A dzięki Bogu, że choć pan do nas przyjechał, będzie nam trochę weselej.

— Alboż to wam tu nie wesoło, mój Michale w takiem dużem mieście?

— Gdzie tam proszę pana, gawędził stary zdejmując palto gościowi, choćby ludzi było tam najwięcej, ale kiedy cudzy, to człowiekowi pośród nich nie miło i nie wesoło.

— Czy pani jest w domu?

— Jest i nie ma teraz nikogo z gości.

— A czy przyjmuje?

— A dlaczegożby przyjąć nie miała kiedy jest w domu.

— To proszę cię mój kochany zaanonsuj mnie.

Stary sługa zaśmiał się i machnął ręką.

— Ej, co bo pan sobie żartuje, jeszcze byśmy tam z panem takie komedye wyprawiali.

— A przecież wczoraj sam poszedłeś zaanonsować.

— To co innego wczoraj było wiele tutejszych, a oni tam bez tych ceremonii obejść się nie umieją, ale dziś na co to się zdało, jeszcze by się pani na mnie gniewała; naszą panią i panienkę tak to już wszystko znudziło, że gdyby nie panna Wanda, tobyśmy już dawno uciekli stąd do Zalesia.

Januszowi znowu na chwilę krew w sercu zastygła, ale zdobył się jednak na odwagę i zapytał:

— Więc panna Wanda tak bardzo rada z pobytu w Warszawie?

— A jużci taka szczęśliwa jakby w raju; kiedy panna Anna zacznie czasem liczyć czas do wiosny, kiedy wrócimy do domu, to panna Wanda mówi zawsze, że chciałaby ażeby w tym roku ani wiosny, ani lata wcale nie było, byle tylko nie wyjeżdżać wcale z Warszawy; nasza panienka to czasem aż płacze biedaczka tak tęskni do Zalesia i swoich lu-

---

wypalił o Asnyku — że taki a taki wielki człowiek z Orlej lub Oślej ulicy, wyjechał za granicę dla kształcenia się... wbladze—że ktoś otwiera nowe wydawnictwo, mimo że ze staremi nie wiemy już co robić—że w tę sobotę odbyła się nowa loterya fantowa, mimo że ta zabawa zepsuła już ogród dostatecznie i że z jej powodu miasto nasze ponosi więcej kosztów na suknie i stroje, niźli zysku mają biedni dla których się ona urządza—że wreszcie... no, co tam jeszcze zdarzyło się po świecie.

To wszystko powiedziawszy, spostrzegłem, że rzecz określiłem niejasno. Czyż bowiem istotnie felietonista ma za zadanie same przygany tylko pisać—nic więcej? Owszem, o ile wiemy i o ile ja sam wiem o sobie, felietonista jest to człowiek, który wszystkich i wszystko, choćby to było najgłupsze, chwalić w taki lub inny sposób, jest zmuszony. Inaczej publiczność się rozgniewa—Kuryer go skrytykuje —i pan redaktor, bojąc się utraty prenumeratorów, chcąc nie chcąc będzie musiał udzielić mu dymisyą.

Co innego więc jeszcze powiedziałem. Powiedziałem, że jest to robaczek skrzydlaty, niby pszczoła, który ze wszystkiego co tylko w świecie jest najsłodszem i najpożywniejszem, sok wyciągać powinien dlatego, aby ztąd jak najmniej miodu właśnie, a jak najwięcej pieprzu i chrzanu, soli wreszcie i... gazu przyrządzić dla ludzi.

Na to określenie uczennica moja wytrzeszczyła tylko oczki.

Musiałem znowu myśleć.

Felietonista — rzekłem po chwili—jest to widzisz pani człowiek, który... czy jest co do powiedzenia czy nic niema, musi zawsze, choćby tem *nic* właśnie, cały odcinek pisma zapełnić.

— Lecz jak to można o *niczem* pisać? zostałem zagabnięty.

— Jak można?, pomyślałem sobie—o naiwności!—i powiedziałem: „Można wszystko, kiedy trzeba, droga pani.

Oto np. gdyby dajmy na to wymarła cała Warszawa, lub gdyby w niej wszyscy od tygodnia spać się położywszy, spali do tej chwili tak mocno, iż na bruku naszym niczby nowego, nic, zupełnie powiadam, nie przydarzyło się w ciągu dni ostatnich, tak, że ja ani o przejściu „Wieku“ z pod redakcyi p. Lewestama pod redakcyą p. Kazimierza Zaleskiego, ani o wyjeździe pana Teksla z Eldorado, ani o przedstawieniu Normy w Teatrze Wielkim, ani o niczem, niczem podobnem, napisać bym nie mógł,—wiesz pani, co zrobiłbym wtedy?

— No co?—zapytano.

— Napisałbym traktat o zaimku nieoznaczonym *nic*. Powiedziałbym, że wyraz ten jest cześcią mowy odmienną, mającą siedem przypadków, jak Bóg przykazał—jednę tylko liczbę pojedynczą, niestety!—i że jest rodzaju nija-

dzi, a panna Wanda śmieje się z niej i mówi, że jej tylko na parafii siedzieć i chłopskie dzieci niańczyć, nie żyć na wielkim świecie; ale niech tam mówi co chce, naszą panienkę ludzie kochają, błogosławią, a tamtą — kto tam jeszcze wie...

Tu umilkł stary, zmiarkował się, że może trochę zawiele powiedział, położył na stole miotełkę, którą dla kontenansu niby oczyszczał czysty tużurek Zadory, poszedł ku drzwiom i otworzył je mówiąc:

— Proszę pana.

Janusz nie potrzebował o nic więcej pytać, dowiedział się na pewno i wątpić już nie mógł, że Wanda ani nawet wspomnienia dla niego nie zachowała, że szyderstwem nawet obrzucała to, co się do błogich chwil przeszłości odnosiło; nowym bólem to go zabolało, ale się przemógł. Harda krew Zadorów w jego żyłach nie darmo płynęła a gdy się raz otrząsnął z mimowolnej miękkości, która mu niegdś wolę tamowała już potem mężnym być umiał, zapanował więc nad sobą i z naturalną swobodą powitał panią Gasztoldowę i panienki. Pani Gasztoldowa była mu rada nad wyraz, nie mogła się z nim nagawędzić do syta, miała go zapytać o tyle rzeczy, wszystko ją tak żywo obchodziło, duszą całą żyła tam skąd on przybywał, nie chciała myśleć nawet, ażeby bytność Janusza miała się ograniczać półgodzinną wizytą, zatrzymała go na obiad; pod wieczór zaprojektowano ażeby razem pojechać do teatru na przedstawienie nowego dramatu, który dawano dnia tego na benefis Halpertowej. Janusz się nie wyrywał, z chęcią przychylił się do propozycyi i zdawał się być swobodny i wesoł, ale dla Wandy okazywał się najzupełniej obojętnym, jakby nigdy w życiu nie interesowała go więcej niż inne kobiety: zajęty był najwięcej Anną, z którą rozmawiał wesoło i swobodnie jakby z siostrą dawno niewidzianą, a sercu miłą. Anna była śliczna dnia tego, bardziej urocza niż kiedy; szafirowa zgrabna sukienka ubierała ją ładnie, a w rozjaśnionej twarzy i pełnych życia oczach tyle było jakiegoś nie zwykłego wesela, jakby jakie nieziemskie szczęście nagle rozjaśniało jej duszę i opromieniło ją całą, a jakiekolwiek były pobudki tego jej wewnętrznego wesela taki to już był prawy i szczery charakter, że nie była wstanie go ukryć i taka ożywiona pogoda od niej biła, że pomimowoli wszystkim około niej weselej się robiło. Janusz patrzył na nią jakby po raz pierwszy ją widział i dziwił się dlaczego dotąd nie zauważał ile powabu i prawdziwie kobiecego łagodnego wdzięku miała w sobie Anna. Z początku z wyrozumowania tylko zajmował się nią na przekor Wandzie, ale powoli Anna coraz bardziej pociągała go ku sobie i pod koniec wieczora, już z prawdziwą przyjemnością sam szukał rozmowy ze śliczną towarzyszką niegdyś zabaw dziecinnych. Wanda to spostrzegła, ubodło ją to, że pewne już zwycięztwo wymykało jej się tak łatwo, pasowała się z sobą; wprawdzie uwalniając się od obowiązujących uczuć Janusza, zrzucała z siebie jednym więcej więzem z tych które jej samoistność tamowały; w dzisiejszym stanie rzeczy ani żądała miłości Janusza, ani ją sama dla niego czuła; zawadzał jej na drodze na której iść dalej pragnęła, ale znowu znieść upokorzenie lekceważenia i ustąpić innej zwycięztwa to było dla niej zbyt trudnem. Miłość własna przemogła nad rozumowaniem i w teatrze siedząc w loży obok Janusza skorzystała z chwili kiedy pani Gasztoldowa i Anna zapatrzona na scenę nie mogły słyszeć, i poszepnęła z cicha:

— Nie poznaję pana, panie Januszu, te kilka miesięcy zmieniły was do niepoznania.

— Być bardzo może, pani, wszystko się zmieniać zaczyna na świecie, dlaczegoż i ja zmienićbym się nie mógł, odpowiedział młody człowiek z sarkastycznym uśmiechem. Wanda nie spodziewała się takiej odpowiedzi, straciła właściwą sobie przytomność umysłu i brnęła dalej.

— Tak nie dawno jeszcze pojmowaliśmy się tak łatwo, dziś zrozumieć się już nie możemy.

— Istotnie, panno Wando, odpowiedział Janusz patrząc jej seryo w oczy, zrozumieć się nam już dzisiaj niepodobna, na zupełnie sprzecznych sobie drogach stanęliśmy i sądzę że dla nas obojga najlepiej będzie jeżeli i dalej po nich iść będziemy, nie oglądając się na siebie wzajemnie, i zaraz dodał jakby dla zwrócenia rozmowy na inny przedmiot.

— Nieprawdaż, pani, że Halpertowa jest niepospolitą artystką, chciałbym ją widzieć w roli światowej kokietki, sądzę że być musi o wiele zręczniejszą od innych—i znowu ironiczny uśmiech zarysował mu usta.

Wanda pobladła, cios był zanadto dotkliwy, chciała się pomścić za tę ranę miłości własnej zadaną i szydzić zaczęła z łatwowierności mężczyzn i podrażniona ukazała się w całym świetle despotycznej samowoli swego charakteru; zarzucała mężczyznom niedołęztwo, brak samodzielności, nieszlachetność nawet. Janusz zimno zarzuty odpierał, rzucając niekiedy sarkazmy, które jeszcze bardziej Wandę drażniły, a im więcej była rozirytowaną tym słabszą, tym mniej swoje nieukontowanie ukryć mogła. Janusz ironią podwoił i doprowadził do tego, że Wanda sama się spostrzegła, iż wpadła w niedorzeczność—umilkła, lecz usta jej drżały z gniewu, Janusz tymczasem najspokojniej zaczął rozmawiać z Anną.

Janusz w swej roli wytrwał do końca wieczora; ani jednem spojrzeniem, ani jedną zmianą twarzy nie zdradził swoich uczuć; ale kiedy odprowadziwszy panie do domu wrócił do siebie, wtedy rzucił się na łóżko w ubraniu i tak z oczami utkwionemi w sufit, bez snu, myśli i czucia przeleżał do rana. Dopiero ruch w korytarzach wyrwał go z tego osłupienia, blady promyk zimowego słońca rozświecił pokój jego i rozjaśnił cokolwiek myśl odrętwiałą; porwał się, usiłując otrząsnąć z tego obezsilenia, przebrał się i wyszedł na miasto. Tłumny ruch wielkiego miasta ma to do siebie, że dziwnie silnie odrywa umysł od przedmiotu dojmującego cierpieniem; wprawdzie zrazu nie jest się w takich chwilach w możności brać czynnego udziału w tym ruchu, ale myśl jakby magnesem ciągniona machinalnie wciela się w wir ogólny, w którym krąży bezwiednie dopóty, aż dopóki serce zmuszana do działania nie wróci do samopoznania i nie zacznie już samoistnie brać udziału w tem co ją otacza. *D. c. n.*

KOMEDYJKI
dla
Teatrzyków Dziecinnych.

Jedną z najważniejszych kwestyi wychowania jest stosowny wybór rozrywek dla wieku dziecięcego. Pominąwszy już to, że należy wszelkimi sposobami usuwać zabawy, które duchowości dziecięcej tylko szkodę przynieść mogą, pożądaną jest rzeczą, aby łączyło się w nich *nadobne z pożytecznem.*

Do zabaw, które najlepiej odpowiadają wskazanemu wyżej wymaganiu, należą tak nazwane teatrzyki dziecinne. Dotychczas mało zwrócono na nie uwagi, bo też ważną niedogodność przedstawiał zupełny brak odpowiednich temu celowi utworów. Niewłaściwem, szkodliwem nawet jest zmuszać dzieci do wyuczania się na pamięć rzeczy, których umysł ich należycie pojąć nie zdoła. Byliśmy kilka-

kiego, pomimo że reprezentantów swoich ma daleko więcej w dorosłych mężczyznach i kobietach, niźli w *dzieciach*. Powiedziałbym dalej, że w znaczeniu filozoficznem, to *nic*, choć niby oznacza to samo zupełnie co *próżnia* w naturze, wcale pustą taką rzeczą i nic nie znaczącą, nie jest. Pomijając już bowiem, że w zdaniu może być subiektem, jak każdy inny sobie rzeczownik—że w sklepie może być subjektem, jak każdy inny żywy subjekt... etc... wyraz ten jeszcze może być przedmiotem całych traktatów naukowo-poetycznych, i pod piórem zdolnego pisarza stać się znakomitą treścią do zdań i sentencyi, niegorszych od senencyi wysokomądrych Kanta lub Fichtego. Dowodem rozprawka p. Klina, młodego naszego a wielce zdolnego pisarza, pomieszczona w zbiorze jego szkiców p. t. „*Nul.*“ Kto czytał rzecz tę, nie będzie sobie drwił z *nic*—dodałbym poważnie. I powiedziałbym na zakończenie jeszcze: „Czytelnicy! że *nic* jest bardzo wielkiem *czemś* w świecie, dowodem najlepszym ten sam świat cały.

— Z czegóż on bowiem powstał?

— Z „nic.“

— Z czegóż myśmy wszyscy powstali, my wszyscy, mówię?

— Z „nic“ także.

A widzicie państwo—zakończyłbym sentencyonalnie—jakie to, to *nic* niby, ta lichota, to biedactwo, wielkiem jest właściwie i wielkiem naprawdę! To wszystko napisawszy, droga pani—zwróciłem się znowu do uczennicy mojej—napisałbym felieton o *niczem*. Czy jasno?

— Jasno—odpowiedziano mi; ale ja nie byłem zadowolony wcale. Czułem, że pomimo niby całego pozoru ścisłości, niedość ściśle i wiernie określiłem istotę felietonisty.

Rzekłem więc jeszcze, zapalając się zatrąconym przedmiotem (tym bardziej, że o ile wiem, „Mucha“ wyznaczyła nawet premium za rozwiązanie tejże samej kwestyi):

„Felietonista, droga pani, jest to człowiek, najpodobniejszy do Pana Boga.“

Panna moja zrobiła wielkie oczy—ja dalej ciągnąłem:

Do Pana Boga przez to, że posiada przymiot najpierwszy, najważniejszy może boskiej istoty, atrybut przez który bóstwo najbardziej nas w podziw wprowadza—*wszechwiedzę.*

Widzisz pani — mówiłem — ja np. pisząc felieton, wszystko co tylko w danej chwili dzieje się w mieście, wszystko to wiedzieć detalicznie muszę. Mamy wiedzieć, jak trawa rośnie!! Pani np. kształcisz się na artystkę dramatyczną; gdybyś, przypuśćmy jutro, ni stąd ni z owąd, zechciała powiedzieć nauczycielowi swojemu p. Królikowskiemu: „Łaskawy panie! wyproś mi pan debiut u p. Prezesa

krotnie świadkami. jak grono młodziutkich gimnazistów urządzało przedstawienie na cel dobroczynny. Przykro było słuchać recytowania górnolotnych wierszy, lub ciężkiej prozy, w których widniała myśl, co najmniej niewłaściwa dla młodej dziatwy. Ciągłe też przekręcanie dowodziło, że młodzi aktorzy nie rozumieli nawet pojedyńczych wyrażeń.

Potrzeba nam więc koniecznie prawdziwie udatnych komedyjek dla dzieci. Musimy przyznać, że w ostatnich czasach widać już na tem polu pewne zaczątki pożytecznej twórczości, do czego przyczynił się szczególniej konkurs we Lwowie. Mamy już kilka utworów w znacznej części odpowiadających wymaganiom, które wykażemy poniżej jako niezbędne dla prac tego rodzaju. Wymagania tę stosują się w ogóle do literatury, przeznaczonej dla młodocianego wieku, tem większe zatem jest ich znaczenie.

Przystępując tedy do rzeczy, postaramy się wykazać, czego unikać należy w komedyjkach i w ogóle w utworach belletrystycznych dla dzieci, a jakie natomiast pierwiastki artystyczne i moralne należy do nich wprowadzać.

Główną wadą utworów starego pokroju jest nudne moralizowanie i ckliwa deklamacyjność. Sądzę, że zbytecznem byłoby nawet wykazywać niewłaściwość tej maniery. Ze względów moralno-tendencyjnych jest ona zupełnie bezskuteczną z dwóch następujących przyczyn: 1) wywody podobne nudzą młodych czytelników i odstręczają ich od czytania; 2) nie słowa i morały, ale czyn i życie wywierają prawdziwe wrażenie na duszę dziecięcą.

W związku z tą wadą jest nieznośny sentymentalizm i chorobliwe marzycielstwo, jakiemi niektóre autorki karmią duszę młodocianą, rozwijając tym sposobem chorobliwy nastrój uczucia i tamując normalny rozwój psychiczny. Duchowość, wyrosła pod wpływem sztucznego ciepła sentymentalnych uczuć, staje się miękką i zniewieściałą; brak trzeźwej myśli i energii czynu skazuje podobne indywidua na wieczne szamotanie się w niemocy. Harmonijny rozwój wszystkich władz duchowości dziecięcej jest głównym warunkiem prawidłowego jej rozwoju.

Ten sam wzgląd zmusza nas do zwrócenia uwagi na jeden jeszcze szkodliwy pierwiastek, uwydatniający się w utworach starego pokroju. Pierwiastkiem tym jest zbyt wybujała niekiedy fantazyjność. W ogólc w tym względzie należy zachowywać jak największą ostrożność. Prawidłowy rozwój fantazyi jest jednym z kardynalnych warunków zdrowego rozwoju duchowości. Pierwiastek nadprzyrodzony, jako nieprzystępny dla umysłu dziecięcego i zazwyczaj fałszywie przezeń pojmowany, należy usunąć zupełnie z twórczości. Fantazya niech będzie opartą zawsze na świecie rzeczywistym, co, nadając jej prawidłowy kierunek, siły bynajmniej ujmować nie będzie.

Umysł dziecięcy jest nadzwyczaj skłonnym do fantazyjności należy rozwijać tę siłę duchową, ale nie w ten sposób, aby tamowała prawidłowy rozwój logicznego rozumowania.

Niepodobna nie zwócić uwagi na wybitną tendencyjność w starych utworach dla młodocianego wieku. Jest to idea nagrody i kary, która stanowić ma główny pierwiastek moralny. Wszystko, co dobre i szlachetne otrzymuje nagrodę, a co złe i nikczemne—karę. Pominąwszy już zupełny brak w tym względzie prawdy życiowej, idea ta, jako motor moralny, jest niewłaściwą dla prawdziwie silnego ugruntowania zasad, rodzących czyny szlachetne. Idea nagrody i kary jest ideą dosyć wątpliwej podniosłości i nie wprowadzi do duszy pierwiastku bezinteresownej cnoty.

Najnowsze badania na polu psychologii i pedagogiki skoncentrowały działalność wychowania moralnego przeważnie w rozwoju szlachetnych popędów, a przygłuszaniu niskich i szkodliwych instynktów psychicznych. Duchowość dziecięca, to zbiór dodatnich i ujemnych sił, mniej lub bardziej nierozwiniętych. Właściwy rozwój tych sił, oto główne zadanie pedagogiczne. Sposób tu w teoryi bardzo prosty i polega jedynie na rozbudzaniu szlachetnych instynktów, czyli wprowadzaniu w ruch dodatnich sił ducha, a z drugiej strony odrętwianiu przez bezczynność ujemnych i na wykorzenieniu tych ostatnich za pomocą wrogich im dodatnich żywiołów. Operacya ta na pozór łatwa, w praktyce jednakże liczne nader przedstawia trudności wymaga, bowiem gruntownej znajomości praw psychicznych i umiejętnego wyboru środków.

Zachodzi teraz pytanie, co najsilniej porusza duszę dziecięcą, uderzając w strunę jej popędów moralnych? Czy abstrakcyjne rozumowanie, lub nudne moralizowanie? Bynajmniej!—Tylko obrazy życia, tylko to, co przedstawia się w konkretnej formie czynu, należycie przemówić zdoła do duszy dziecięcej.

Stosując tę zasadę do twórczości piśmienniczej, widzimy, że materyał dla niej czerpać należy z życia, i kierując się pewną moralną tendencyjnością, kreślić nadające się do uwydatniania jej obrazy.

Lecz nie wszystkie objawy życia i nie każda tendencyjność zrozumiałą i właściwą jest dla umysłu i serca młodocianego. Najwłaściwszymi są w tym względzie obrazy życia dziecięcego. Znajdując się w sferze przystępnych dlań myśli, uczuć i popędów, dziecko należycie je zrozumieć i odczuć potrafi. Świat najbardziej mu znany najwięcej je zaciekawi; dusza dziecięca nauczy się naśladować dobrych towarzyszy, a unikać tego, co w złych niedobrego dopatrzy. Jasna tendencyjność, jako światło przewodnie, jest tu koniecznie potrzebną. W chaosie faktów życia niedoświadczony umysł sam prawdy nie odszuka, a i popędy nierozwinięte winny być poruszone obcą dłonią.

Ale tendencyjność owa powinnna być przystępną i stosowną do potrzeb duszy dziecięcej, nie powinna przekraczać granicy jej pojęcia, ani właściwych dróg rozwoju. Wszelkie idee wyższe i popędy, właściwe dojrzałej tylko duchowości, należy wykluczyć z zakresu twórczości. Piszący powinien zniżyć się do umysłu i serca dziecięcego, poznać należycie jego potrzeby i prawa rozwoju, wybrać właściwą im tendencyą i zaczerpnąć z życia młodocianego materyał, również odpowiedni takowym. W ten tylko sposób zdoła owładnąć duszą młodocianą, jej myślą, uczuciem popędami i kierować niemi w sposób odpowiedni celowi. Prostota i prawdà stanowią tu niezbędne warunki. Należy przedstawić życie w właściwej jego formie. Wprowadzając niekiedy duszę dziecięcą na szerszą nieco widownię świata, należy rozlać pewne serdeczne ciepło. Pewna doza optymizmu będzie tu bardzo pożytecznym żywiołem. Bajronizm i pessymizm mogą tylko zatruć duszę dziecięcą zwątpieniem, odjąć jej wiarę w dobro i cnotę, pozbawić miłości dla ludzi i zagłuszyć wiele szlachetnych popędów ducha.

Z drugiej strony jednakże nie należy opromieniać rzeczywistości zbyt jaskrawem światłem optymizmu, aby później nie doznawała bolesnych rozczarowań i goryczy. Zachowanie właściwej w tym względzie miary jest rzeczą artyzmu. W każdym obrazie życia niech tkwi prawda rzeczywista, lecz trzeba nauczyć serce dziecięce, aby nań z prawdziwą miłością spoglądało. Niech pogardza wszystkiem, co jest niecne i poziome, lecz zarazem niechaj nauczy się kochać i przebaczać!

Jeszcze słówko *à propos* tendencyjności. Uwydatniać się ona winna nie w pewnych rozumowanych uwagach, lub sentencyach autora; morał winien tkwić w samej akcyi tak, aby dziecko samo wysnuć go sobie mogło. Smutna to już rzecz, jeżeli autor lub autorka musi objaśniać znaczenie swego utworu, dowodzi bowiem, że sama treść jego nie dopięła celu.

Teatrów" i p. Królikowski zrobiłby to dla pani i p. Prezes Teatrów, ustępując przełożeniu p. Królikowskiego, wydałby pani na debiut najbardziej ustne nawet zezwolenie — to ja, gdybym nie miał przyjemności znać nawet pani osobiście, ani wiedzieć, że się nazywasz H. D. obowiązany byłbym, jako dobry felietonista, odezwać się zaraz w najbliższym swoim felietonie: „Słyszeliśmy, albo wiemy z dobrego źródła, albo doszło do naszej wiadomości, iż wkrótce w Teatrze Wielkim czy Rozmaitości, wystąpić ma z popisem pewna młoda artystka, uczennica Króiikowskiego, obiecująca zapewne, jako taka, bardzo wiele dla sceny krajowej!"

Tak samo obowiązany jestem wiedzieć, co w nowo otworzonej Szkole Handlowej, mówili pomiędzy sobą w przeszłą sobotę panowie przyszli nauczyciele tejże szkoły, na pierwszej sesyi zaraz, którą zwołał jej dyrektor p. Przystański? Ilu uczni zapisało się już do tej szkoły?... czy ławki w niej wygodnie urządzone?.. powietrze czy czyste będzie w klasach?... etc...

Gdybym tego wszystkiego nie wiedział, a inny ktoś uprzedziłby mnie w tym względzie, zarumieniłbym się po same uszy.

Tak samo o wszystkiem innem, o wszystkiem powiadam pani obowiązany jestem mówić... *pierwszy!*

Zaledwie p. Godebski znalazł tam jakiegoś artystę wieśniaka, który modele i rysunki wykonywa mu lepiej, niż inny podobno, fachowy nawet artysta—już o tem powiedzieć muszę.

Zaledwie zachorowała p. Modrzejewska—pisz o tem.

Zaledwie szron biały pokazał się wczoraj nad ranem—pisz.

Aie... cóż to?—Ja opowiadam, co gadałem z uczennicą swoją o rzeczach nie mających żadnego związku z kroniką, a tu szpalta już piąta czy szósta się kończy! Odcinek w Ognisku, jak zwykle, być musi!... Gdzież miejsce nań znaleźć teraz?...

Tam—do dyaska!

No, to chyba niech ta gawęda posłuży już za felieton.

. . . .

Masz chłopcze! Nieś do drukarni!

Prócz wskazanych wyżej warunków tendencyjno - moralnych, nie należy pomijać też i względów estetyczno - artystycznych. Prawdziwe piękno zdoła tylko uszlachetnić duszę dziecięcą; sama prawda powinna być pięknem zarazem. Wymagają tego zasady estetycznego i moralnego wychowania.

Wreszcie autorowie i autorki komedyjek dla teatrzyków dziecinnych winni starać się o zachowanie dogodnych warunków scenicznych.

Antoni Pilecki.

POLEMIKA

(Odpowiedź **Izraelicie** na Pogadanki z N-ru 35).

Pomieszczony w numerze 47 naszego pisma artykuł p. n. *Przyczynek do kwestyi żydowskiej*, nie miał szczęścia podobać się autorowi *Pogadanek* w numerze 35 *Izraelity*. Pan △ po wstępie, w którym stara się dowieść, iż nigdy polemiki bezzasadnej nie prowadzi, przytacza szereg *inkryminacyi*, jakoby przez autora *Przyczynku* przeciwko inteligentnej klasie żydowskiej przywiedzionych. Następnie kilka z owych *inkryminacyi*, wyraźnie *kilka*, zbić się stara i usprawiedliwić swoje twierdzenia dosyć obszernemi zasadami. Inne zarzuty pozostawia autor *Pogadanek* bez żadnej odpowiedzi i jedynie ogólnikowo fałsz im zarzuca.

Oto główna część obrony zamieszczonej w *Izraelicie*. Powtarzamy ją tu dosłownie, raz dla uczynienia zadość żądaniu, iżby czytelnicy nasi, którzy najsamprzód oskarżenia przeczytali, mieli możność wysłuchania i drugiej strony—powtóre zaś dlatego — iżbyśmy na tę znowu odpowiedź, odpowiedzieć mogli.

Pan △ pisze:

„Myli się p. Pilecki najsamprzód utrzymując, jakoby młodzież żydowska stroniła od wydziałów filologicznego i matematycznego, poświęcając się jedynie tym naukom, z których bezpośrednio widzi korzyść. Jakkolwiek bowiem mało pomiędzy współwyznawcami naszymi jest takich, którzyby nauce dla nauki tylko oddawać się mogli — trudno jednak zaprzeczyć, że wydziały filologiczny i matematyczny od czasu otworzenia Szkoły Głównej Warszawskiej w r. 1862 (o czasach dawniejszych już nie mówimy) do chwili obecnej, w szczupłych swych szeregach liczyły i liczą studentów-żydów; trudno nie widzieć i nie wiedzieć, że na tych polach właśnie dosyć stosunkowo mamy specyalistów-żydów, którzy jeszcze i tę mają wyższość, iż nie szukają szczęścia gdzieś za morzem, lecz żyją w kraju i pracują dla społeczeństwa krajowego... Nie mamy na razie danych statystycznych pod ręką; zapewnić przecież możemy pana P., iż stosunek liczby studentów żydów tak w Uniwerstytecie tutejszym, jako i w dawniejszej Szkole Głównej, do ogólnej cyfry uczących się zawsze i stale bywał większy, aniżeli stosunek ilości żydów u nas do ogółu ludności krajowej, oraz, że w tym samym stosunku nawet żydzi uczęszczali na ekscypowane przez pana P. wydziały. Odmawianie młodzieży żydowskiej wszelkich uczuć szlachetnych niemniej twierdzenia, jakoby zapał dla wzniosłych idei budził się w niej jedynie za wpływem kolegów-inowierców, po ustaniu którego to wpływu zapał stygnie prędko i jakoby *już w pierwszym zaczątku budzącego się ducha* miejsce jego miał zastąpić indyferentyzm—stanowią zarzuty śmiałe, ale co najmniej, że o nich najumiarkowaniej się wyrazimy—nieprawdziwe. Za dalekoby to nas zaprowadziło, gdybyśmy w tem miejscu nieprawdę tę po szczególe wykazywać chcieli —uważamy to zresztą za zbyteczne z tego powodu, że mamy w tym względzie świadka, który jest nieubłaganym wprawdzie, ale za to nigdy nie zawodzi. Mamy tu na myśli rzeczywistość, fakta z przeszłości i teraźniejszości, na których świadectwo poważne bez obawy i ze spokojnem sumieniem powołać się możemy. Niech powiedzą ci z dobrzemyślących rodaków-chrześcian, którzy idąc ręka w rękę z kolegami swymi żydami od ławki szkolej przez mozolne studya uniwersyteckie, do niemniej ciernistej pracy w dziedzinie życia publicznego — niech powiedzą, czy żydzi, żydzi inteligentni, dezerterują z pod sztandarów postępu i zrywają z dawnymi towarzyszami, kiedy im tylko promyk lepszej doli zaświeci? Niech ich zapyta pan P., a przekona się, że zbłądził, że ciężką wyrządził krzywdę tym, którzy także umieją wytrwać w służbie idei wzniosłych, którzy umieją być przyjaciółmi i towarzyszami wiernymi braci swoich inowierców, którzy czują i spełniają obowiązki swe względem społeczeństwa—a to wszystko *pomimo*, iż w innej formie chwalą Boga, dobrotliwego Ojca wszystkich ludzi. Są prawda wyjątki i to niestety dosyć liczne—są żydzi inteligentni, podchodzący pod wzroki nakreślone przez p. P. Temu przeczyć nie myślimy. Ale to jeszcze nie upoważnia do rzucania klątwy na cały ogół inteligencyi żydowskiej, zwłaszcza że niedostatki tej ostatniej ujawniają się głównie w stosunku do współwyznawców, do wiary ojców, chodzenia około spraw gminnych i t. p.—powiedzielibyśmy na wewnątrz: w stosunkach zaś do inowierców, o których właśnie mówi pan P., klasa ta jest prawie bez zarzutu; kiedy im tylko inowierca okaże choć iskierkę życzliwości, gotowi są oddać duszę całą. Najbardziej naiwnem jest zdanie pana P., jakoby pomiędzy inteligencyą żydowską nie było nawet kilku jednostek poświęcających się pracy na polu piśmiennictwa krajowego i mniej korzystnym specyalnościom. Dziwimy się, doprawdy tej naiwności pana P., albo też tej chęci zamykania oczu na wszystko, co się dzieje pod jego bokiem. Za całą odpowiedź na zdanie co do zaniedbywania przez żydów literatury krajowej i unikania specyalności, wskażemy panu P. źródła więcej dostępne, źródła, skąd poważnie przeświadczenie, że jest w kolizyi z prawdą i oczywistością. Przedewszystkiem wszakże musimy wyjaśnić, że piśmiennictwo bynajmniej u nas nie jest jednoznacznem *z warsztatem literackim*, jak również, że ognisk pracy umysłowej inteligentnej młodzieży naszej bynajmniej za *obozowiska* uważać nie możemy, do czego znów bardzo zdaje się skłaniać autor „Przyczynku do kwestyi żydowskiej.“ Jeśli autorowi chodzi o to, że żydzi opuścili *warsztat literacki*—to zgoda—my mu jeszcze więcej przyznamy, to mianowicie, że bardzo wątpimy, iżby kiedykolwiek pozwolili się używać za wyrobników literackich,—jeśli im zarzuca, że nie zajrzą dziś do *obozowisk* piśmienniczych we właściwem znaczeniu, to i przeciwko temu nie mamy nic do nadmienienia. Jeśli jednak chciał przenośnie wyrazić myśl swoję i miał na oku piśmiennictwo poważne, specyalne, musimy najmocniej zaprotestować przeciwko poglądowi takiemu.

Dzieła żydów literackie i naukowe, prawie w każdej gałęzi piśmiennictwa krajowego figurujące, z których niejedno, bądź ze względu na talent rzeczywisty, bądź na głęboką wiedzę ich autorów, przez znawców wysoko bywa cenione, współpracownictwo żydów do wszystkich prawie pism peryodycznych tutejszych, czy beletrystycznych, czy naukowych, zwłaszcza zaś pisma takie jak: *Niwa*, *Biblioteka umiejętności lekarskich*, *Gazeta lekarska*, często mieszczące ich prace, a pierwsze z tych pism przez czas dość długi wyłącznie prawie siłami ich podtrzymywane, niewychodzący już dziś *Przegląd Sądowy*, *Biblioteka umiejętności prawnych*, *Gazeta Sądowa*, gdzie niejednokrotnie spotkać się można z nazwiskami i utworami żydowskiemi — wymownie świadczą przeciwko opiniom pana Pileckiego“.

Z tej obrony okazuje się, że autorowi *Pogadanek* nie podobały się niektóre wyrażenia i poglądy naszego współpracownika, ale że przeciwko głównej treści jego artykułu nic przytoczyć nie jest w stanie. Co więcej, sam on przyznaje że „są wyjątki i to niestety dosyć liczne—są żydzi inteligentni, podchodzący pod wzorki nakreślone przez pana P. Temu przeczyć nie myślimy.“ i t. d.

Cała więc różnica w zapatrywaniu polega na tem, że współpracownik nasz, pan Pilecki stosuje do *większości* inteligencyi izraelskiej zarzuty, które obrońca żydów przyznaje za słuszne jedynie co do *dosyć licznych wyjątków*.

Że jednak pan △ jest tu cokolwiek uprzedzonym i patrzy na rzeczy przez pryzmat optymizmu temu zaprzeczyć nie podobna. Nie dziwimy się bynajmniej, że tak gorąco broni swoich współwyznawców i że dotknął go *do żywego* rozbiór kwestyi, którą uznaje za ważną, dokonany w sposób dosyć energiczny i to w piśmie przeznaczonem przeważnie dla *czytelników innych wyznań*. Autor *Pogadanek* kocha widocznie sprawę żydowską i za powołanych do rozprawiania o niej uważa tylko tych, którzy ją widzą w tem świetle, w jakiem on widziećby ją pragnął. Taki pogląd chlubę przyniesić mu może, ale nie podobna uznać go za bezstronny. Jakto, więc nam, nie należącym do współwyznawców autora pogadanek i oskarżonej inteligencyi żydowskiej, nie służy prawo wypowiedzenia sądu, z którym sam *Izraelita* o parę tygodni wcześniej od nas zapoznał czytającą publiczność? Zdaje nam się, że tego prawa nikt nam zaprzeczyć nie zdoła. Że zaś zarzuty postawione przez autora *Przyczynku do kwestyi żydowskiej* nie były ani stroniczemi, ani bezzasadnemi, ani nawet przesadzonemi — o tem najlepiej przekonają czytelników naszych słowa zamieszczone w *Izraelicie* w numerze 32 w *Pogadankach*, które tu przytaczamy:

„..... Tego rodzaju jednostki winny być cennym przykładem dla współbraci swoich, którzy tak często dla lepszygh widoków na przyszłość opuszczają ognisko umysłowej i artystyczne działalności. Słusznie narzekają na wykształcenie żydów, że dopóki pierwsze porywy młodzieńczego ducha nie zagasną w ich piersiach, dopóki żyją w gronie kolegów uniwerstyteckich, zaprzęgają się na chwilę do rydwanu, ciągnącego społeczeństwo po drodze oświaty i postępu. Lecz skoro tylko uściełą sobie gniazdko jakie, gdzie mogą spokojnie zasypiać na zdobytych laurach, usuwają się nagle od tej podniosłej pracy, kierując jedynie swą działalność w sferę egoistycznych dążności. Jest to choroba, rozpowszechniona u znacznej części młodych i wykształconych żydów. Sądzimy, że przyszłość choć w części usunąć ją zdoła i że choć szczupła ich cząstka będzie stać zawsze w szeregu dzielnych bojowników myśli i pionierów postępu.“

Z przywiedzionego wyżej ustępu, pomieszczonego w *Pagadankach*, a więc w części *redakcyjnej*, przychodzimy do przekonania że zdanie z którem się redakcya *Izraelity* solidaryzuje, bynajmniej nie różni się od poglądu wypowiedzianego w *Przyczynku do kwestyi żydowskiej*. Tu i tam jedne zarzuty i jednakie

z nich konsekwencye. Ta tylko zachodzi różnica, że tam ranę odsłania ręka zapewne kochającego brata-współwyznawcy—tu zaś ręka zarówno kochającego rodaka ale inowiercy. Stąd to zapewne dotknięcie tą ręką kwestyi żydowskiej zabolało do żywego i wywołało głos skargi z ust szlachetnych, ale starających się zakryć przed światem niezabliźnioną jeszcze ranę!

Ta gorliwość zadaleko zaprowadziła obrońcę kwestyi żydowskiej. Posunął się on w zarzutach swoich przeciwko naszemu współpracownikowi, aż do podsuwania mu zdań, których nie wypowiedział i nie mógł mieć nawet na myśli. Autor *Przyczynku*, *nigdzie* nie objawił przekonania, że „pomiędzy inteligencyą żydowską nie ma nawet kilku jednostek poświęcających się pracy na polu piśmiennictwa krajowego i mniej korzystnym specyalnościom.“ A jednak z tego powodu sformułowano przeciwko niemu ciężki zarzut—nie zważając na to, że autor *Przyczynku* nigdzie nie mówi o *wyjątkach* a ciągle ma na myśli jedynie ogół czyli *znaczną większość* ludności żydowskiej.

Obok tego cały ton obrony, tchnący żywem oburzeniem, daje mimowolną wskazówkę, że autor musiał ją pisać pod świeżem wrażeniem i że zapomniawszy poglądów wyrażonych na tem samem miejscu przez redakcyą *Izraelity* doszedł do braku konsekwencyi.... z samym sobą. *Br. P.*

OBRAZKI
wychowania domowego.

(podług notatek Anny z Potockich Nakwaskiéj)

zebrane przez **Z. W.**

III.

Na drugi dzień pojechałam odwiedzić bogaty dom niemiecki Doppelmeyerów, zamieszkałych przy ulicy Królewskiej. Ludzie to są bardzo zamożni i pomimo że od dwóch pokoleń mieszkają w naszym kraju, zachowali nietkniętemi wszystkie tradycye i zwyczaje swej ojczyzny. Rodzina ta miała obszerne stosunki w wyższem towarzystwie i słynęła z praktycznego i doskonałego sposobu wychowywania dzieci. Ojciec, matka i ciotka zjednoczyli się w jedno, skoro szło o kształcenie czterech synów, któremi Pan Bóg obdarzył szanownych pp. Doppelmeyer. Cel wychowania był jasny objęty ścisłym zaraz po urodzeniu najstarszego synka Alberta ułożonym programem, od którego nie odstępowało się ani na jotę. Dzieci, były to maszyny chodzące, ruszające się, nawet myślące, podług programu. Posłuszeństwo, było tam cnotą przeważającą. Dziatki ciągle były zajęte; wstawały o oznaczonych godzinach, chodziły, uczyły się, rozmawiały, i bawiły się podług zegara wiszącego w jadalni.

Była godzina pierwsza, kiedym się zatrzymała przed domem Doppelmeyrów. Wysoki lokaj, w kamaszach i orzechowej liberyi, oświadczył mi że pani przyjmuje. Przeszłam długi szereg wykwintnie umeblowanych pokoi, w których pachniała czystość, porządek i tylko co nawoskowana posadzka. Gospodyni wyszła na moje spotkanie i wprowadziła do małego saloniku, w którym przyjmowano gości, w godzinach swobodnych od lekcyi. Pokój ten, był umeblowany dość wykwintnie, i z konfortem. Niezliczone mnóstwo, niepotrzebnych drobnostek leżało na stolikach, etażerkach i konsolach; szafki do kluczy, misternie rzeźbione, ukrywały się pomiędzy naturalnemi i sztucznemi kwiatami, rozstawionemi na oknach. Na ścianie wisiały portrety cesarza Wilhelma i Bismarcka, obadwa w ramkach z muszli otoczone girlandą z nieśmiertelników. Jeżeli który z gości podziwiał tak praktyczne zużytkowanie muszli i skorupek od raków, stara ciotka, powtarzała z dumą: „To robota dzieci.“ Na dużym stole, stojącym na środku pokoju, znajdowało się mnóstwo drobnostek, zebranych Bóg wie dla czego. Tam, przy kubku od wody Karlsbadzkiej, z widokiem najważniejszego źródła, leży figurka zrobiona ze skorupy raka morskiego, dalej statuetka tancerki z saskiej porcelany, maszynka do gotowania jaj, rączka z gipsu, i parę zwierzątek skamieniałych, z rodzaju jaszczurek lub tym podobnych płazów. Jednem słowem oko przychodnia, natrafiało na tysiące przedmiotów, obecność których, w tak eleganckim salonie, zadziwiłaby każdą Polkę; podobne gospodarstwo widzieć tylko można w domu czysto niemieckim. Wszystkie te drobnostki stanowiły drogą pamiątkę; każda z nich miała swą historyą—czyli też pewnego rodzaju epopeę. W podobnym zakątku Niemka jest najszczęśliwszą — dnie i tygodnie będzie przepędzała nad zmudną robotą, najniepotrzebniejszą w świecie, tylko w celu przystrojenia jakiego zakątka, i dostatecznia kurzowi, nowego do spoczynku miejsca. Pani Doppelmeyr i jej ciotka panna Salsburg, siedziały nad robotą, każda przy swoim stoliku i przy swojem oknie.

Przy samej pani, na stoliku leżały „*Garten Laube*,“ „*Bazar*“ a na podłodze stał duży kosz, napełniony bielizną, do cerowania. Jak uważałam bielizna ta przyniesiona tam była bez celu, gdyż pani pracowała nad robótką, podług Bazaru, składającą się z reszek, atłasu, aksamitu i sukna. Miała to być serwetka do pokrycia gorących kartofli.

Panna Salsburg, staruszka, trzymająca się sztywno, w białym czepku na głowie i siwemi lokami, robiła pończochę. Obok niej na stoliku książka do nabożeństwa, *Schlesische Zeitung* i tom Szyllera, z rysunkami. Trzech chłopczyków, siedziało przy okrągłym stole. Najstarszy z nich miał lat 9, drugi 6, a najmniejszy 5. Zajęci byli robieniem plecionek z kawałków papieru, podług metody Fröbla.

Wszyscy trzej byli do siebie podobni; a każdego z nich, włosy były ryże, oczy szaro-niebieskawe, bez wyrazu,podobne do oczu cielat. Ubranie ich składało się z niebieskiej sukienki i białego fartuszka; nóżki były gołe. Gdym weszła, chłopcy cichutko wstali z krzeseł, ukłonili mi się powoli i tą samą drogą wdrapali się na nie, i zajęli się robotą.

Panna Salsburg, zmierzyła mnie srogim wzrokiem i wycedziła przez zęby z silnym akcentem niemieckim:

— Przepraszam — my nie spodziewaliśmy się gości.

— *Liebe Tante* ja z panią W. bez ceremonii znamy się od lat dziecinnych.

— *Ja, ja; Sie waren ja bekant als Kinder*, mruknęła *Tante*, wpatrując się we mnie.

— *Grosse Freundinnen.*

Panna Salsburg mówiła po większej części po niemiecku, wszyscy też z nią w tym języku rozmawiali; pani Doppelmeyer mówiła z dziećmi po polsku.

Wspomnienie lat dziecinnych, jest ważne. Ono dużo znaczy.

— Mamo ja skończyłem, zawołał jeden z chłopców.

— I ja też skończyłem mamo, zapiszczał drugi.

— A Gucio?

— Gucio jeszcze nie skończył, zawołał starszy braciszek.

— Guciu, prędko skończysz?

— Zaraz mamunieczko.

— Jak skończysz, powiedz.

— Dobrze, mamunieczko!

— Córeczka pani zapewne zajmuje się podobnemi robotami, zapytała mnie panna Salsburg. One są bardzo pożyteczne.

— Z żalem wyznać muszę, że tak nie jest; moja mała, również jak powierzone mej opiece siostrzenice, mają najsilniejszy wstręt, do wszystkich robótek podług metody Fröbla.

— Jakże to być może? zapytała staruszka, i pani rozwija w dzieciach własnę ich wolę? To bardzo niedobrze. Posłuszeństwo ślepe, jest cnotą, którą od urodzenia wpajać w nie należy.

Miałam właśnie odpowiedzieć szanownej *Tante*, kiedy głosik piszczący małego Gucia, zwrócił powszecgną uwagę, na inną a nie mniej ważną kwestyą.

Dzieci sprzeczały się i giestykulowały z niezwyczajną żywością.

— *Kinder*, ciszej, wszakże wiecie, że rozmowa w obec starszych jest wam wzbronioną! odezwała się *Tante*, głosem surowym.

— Wiemy *Grosstante* odparł najstarszy, zwany Krysti, ale Gucio jeszcze nie skończył swego koszyka i my z tej przyczyny czekać musimy.

— Guciu, dlaczego nie skończyłeś, ozwała się matka, to niedobrze moje dziecko, na drugi raz bądź pilniejszym!

— Psujesz dzieci, Berto, rzekła poważnie *Tante*, patrząc na mnie z ukosa, Gucio zasługuje na półgodzinne klęczenie, gdyż nietylko w czasie oznaczonym nie skończył swej plecionki, ale się zapatrywał ciągle na kanarki!

— *Liebe Tante* bądź dla dzieci łaskawszą przebacz im ten raz i pozwól pobiegać po pokoju, wszak to godzina, w której chłopcy zwykli używać ruchu!

— Dobrze, ale tylko dwa razy, wolno im przebiedz przez trzy salony, gdyż trzeba je zawczasu przyzwyczajać do grzeczności i cichości w obec obcych.

— *Grosstante* pozwól nam biegać, odezwali się chłopcy jednogłośnie,—cicho się sprawować będziemy.

Chłopczyki zeskoczyli z krzeseł, ułożyli porządnie kawałki papieru, i zaczęte robótki do pudełek, odnieśli do stojących w przyległym pokoju szafek, i zamknąwszy je tam, każdy z nich schował swój kluczyk do portmonetki. Potem jak na komendę, najstarszy Krysti stanął przy drzwiach, i wziął braciszków młodszych za ręce, i cicho, bez hałasu, drobnemi krokami pobiegli przez wszystkie pokoje przyśpiewując półgłosem: tik, tak, tik, tak! Przybiegłszy do kresu, stanęli każdy na miejscu się okręcił i znowu wziąwszy się za rączki podbiegli do nas; manewr ten powtórzył się parę razy, zawsze cicho, porządnie, na sukienkach i fartuszkach nie dostrzegłam najmniejszej fałdki, twarzyczki zachowały tę samą bladość, oczy ten sam wyraz apatyczny i obojętny.

— Teraz możecie przestać, zawołała panna Salzburg, patrząc na zegar — jużeście biegali minut dwadzieścia.

— *Ich bitte liebe Tante, noch ein Bischen*; zapiszczały cienkie głosiki.

— No, mniejsza z tem, pozwalam raz jeszcze, ale nie więcej — zadecydowała *Grosstante.*

Dziatki usłuchały w milczeniu, przestały biegać i każdy z chłopców wziąwszy swe zabawki usiadł w oddzielnym kąciku; była to godzina, w której dzieci bawiły się układaniem rozmaitych figur i domów z kartonu i w czasie tego zajęcia nie wolno im było mówić do siebie i wychodzić ze swego kącika;

nieposłuszni byli karani postem, lub skazywani na całodzienne milczenie.

Co mnie najbardziej zdziwiło to apatyczne poddanie się woli starszych, zdradzające się w każdym ruchu, tych trojga dzieci. Gdym się z niemi bliżej poznała, zauważyłam, że nic zgoła im przyjemności nie robiło. Zabawy ich, wprzód obmyślane i zastosowane do programu, zostawały pod najsurowszą kontrolą *Grosstante*, która rządząc nad niemi arbitralnie wprowadziła pewien rodzaj wojskowej rutyny, i biada wykraczającemu—kara go nigdy nie ominęła.

Pani Doppelmeyer osoba łagodna i cicha, uległa woli męża, i jego starej ciotki co do urządzenia domu, i kierunku wychowaniem dzieci, zastrzegając sobie panowanie w kuchni i spiżarni, z tego powodu, całemi dniami przesiadywała tam, zajęta smażeniem konfitur, przyprawą soków i najrozmaitszych marynat. Dzieci zostawały pod bezpośrednią władzą panny Salzburg, która często cierpiąc rozliczne dolegliwości, a mianowicie w okolicy wątroby, zły humur będący naturalnym tego wynikiem, dawała uczuć biednym dziatkom, powierzonym jej opiece.

Najstarszy z nich Albert, był jej ulubieńcem; chłopak ten, podczas mej wizyty był na spacerze i ledwo gdym się zabierała do wyjścia, powrócił do domu, wraz ze swym guwernerem, byłym studentem z uniwersytetu Götyngskiego, gdzie chodził na kurs teologii.

Była to postać chuda, blada, z oczyma koloru nieokreślonego, cedząca słowa przez zęby i spuszczająca oczy w obecności kobiet, jak na teologa przystało.

Zapytałam go, jakie przedmioty wykłada swemu uczniowi. Skromny teolog, zacząwszy od retoryki, wymienił historyą, geografią, matematykę, mitologią, literaturę powszechną i nauki przyrodzone.

Zdumiona tak rozległą erudycyą, zapytąłam nieśmiało, czy nie jest to trochę za uciążliwe dla chłopczyka dziesięcioletniego, trudzić się nad tyloma zawikłanemi przedmiotami?

— Bynajmniej, odpowiedział stanowczo, chłopiec dziesięcioletni, powinien nietylko mieć pojęcie o wyższych naukach, ale poznać je dokładnie gdyż doszedłszy do lat czternastu, nauka teoretyczna ustaje, a praktyka się rozpoczyna.

— Jaka praktyka? zapytałam.

— Długo o tem mówić, szanowna pani, odparł z niechęcią, są to kwestye niedostępne dla umysłów niewieścich; one nie są w stanie ich pojąć.

I na tem się skończyła nasza pedagogiczna rozprawa. Widząc, że na każde pytanie, otrzymuję niechętną odpowiedź, pożegnałam szanowną rodzinę Doppelmeyerów, i powróciłam do domu, rozmyślając nad losem biednych, nieszczęśliwych dziatek, oddanych na pastwę, podobnie uczonego teologa.

* * *

(*Dokończenie nastąpi*).

Z DOMU I DLA DOMU.

— **Próbowanie octu.** Znajdujący się w handlu ocet zawiera w sobie nierzadko ołów lub cynę, co nie może oddziaływać korzystnie na zdrowie, gdyż jak wiadomo, sole ołowiane, są dosyć silną trucizną, szczególniej cukier ołowiany czyli octan ołowiu. Dla wyśledzenia zatem tych związków, profesor Vogel zaleca używać rozcieńczonego roztworu saletrzanu srebra; najmniejsze ślady cyny wykryć można a to jeżeli ocet za dodaniem wzmiankowanego roztworu zabarwi się na kolor jasno-brunatny. (*W—k*).

— **Sago** przygotowują na wyspach Moluckich i Filipińskich ze rdzenia palmy sagowej (*Sagus Rumphii*). Sago wyrabiane na wyspie Guadelupie pochodzi z rośliny zwanej *Raphia farynifera*, pewnego zachodnio indyjskiego gatunku *Caryote ureus*. Celem otrzymywania sago, drzewa łupią się, zawarty w nich rdzeń wyjmuje się, przerabia z wodą, a krochmal wypłukuje się na sitach z włókna palmy kokosowej. Po osadzeniu się krochmalu palmowego, takowy płucze się rozpościera na płatach dla odcieknięcia wody, i w stanie wilgotnym przeciera przez sita metalowe, w skutek czego przybiera kształt ziarnisty. Ziarnka spadają na gorące płyty miedziane, przez co krochmal po większej części przechodzi w klajster, a po wyschnięciu stanowi znane regularne i twarde ziarnka, które przez gotowanie w wodzie stają się galaretowate, ale zawsze w pewnej części zachowują swój kształt. Większa część znajdującego się w handlu sago wyrabianą bywa z krochmalu kartoflanego zabarwionego tlenkiem żelaza albo palonym cukrem. (*W—k.*)

ROZMAITOŚCI.

Luźne notatki z podróży odbywanych po kraju

przez

J. L. Kaczkowskiego.

V.

Królestwo Polskie leży na przedłużeniu wschodnio-europejskiej płaszczyzny jaką zajmuje Cesarstwo Rosyjskie otoczonej w części morzami, a w części trzema pasmami gór: Uralskiemi, Kaukazkiemi i Karpackiemi. Przestrzeń ta stanowiła niegdyś dno morskie, jak o tem między wielu innymi świadczą również pokłady soli leżące u stóp Karpat i Uralu. Pod względem układu pionowego podzielić je można na dwie części, stanowiące względem siebie oddzielny zupełnie charakter. I tak: w części północnej zawierającej w sobie gubernie: Łomżyńską, Płocką, Warszawską, Kaliską, Lubelską, Siedlecką, po ujściu rzeki Pilicy i Wieprza do Wisly, grunt jest zupełnie płaski; w guberniach wszakże Łomżyńskiej i Suwałkskiej znajdują się podnioślejsze wzgórza, będące przedłużeniem pagórków w Prusach rozpołożonych. Wzgórza te, wychodząc z gubernii Łomżyńskiej, przebiegają Suwałkską z zachodu na wschód i przechodzą za Niemen w kierunku do jeziora Wiżajny na osadę Filipów, jezioro Rospuda, a potem z biegiem Hańczy na osady Sereja i Olitę wchodzą do gubernii wileńskiej i siegają wysokości od 600 do 700 stóp nad poziom morza. Od najwyższego punktu tego pasma pod miastem Przerośl, oddziela się znaczniejszy łańcuch, idący pomiędzy granicą Pruską a Suwałkami, na Augustów, Rajgród, Szczuczyn, dalej na północo-zachód na Kolno potem zwraca się na południe przez Stawiski, dochodzi do Narwi pod Łomżą i tu rozszerza się po obu stronach tej rzeki. Najwyżej wzniesiona część kraju rozpoczyna się przy ujściu Pilicy i Wieprza a szczególniej po lewej stronie Wisły, tak, że postępując od tych rzek, dalej na południe, grunt coraz bardziej się podnosi. Lewe Powiśle wraz z doliną Warty, pod względem orograficznym, podzielić można na trzy oddzielne części i przyjąć dwie linie podziałowe. Pierwsza od Przedborza w gubernii Radomskiej, położonego na granicy petrokowskiej, na Radoszyce, Końskie do Ostrowca, po rzece Kamiennej, do tej ujścia do Wisły pod Wolą Pawłowską (powiat iłżecki) najwięcej ku północy posunięta, jest dosyć równa, gdzie niegdzie ma wzgórza i małe rzeczki. Druga od Koniecpola (gubernja Petrokowska), po rzekach Mierżawa i Nida do Nowego Miasta Korczyna, gdzie Nida wpływa do Wisły, zwana wzniosłością Sandomierską, przecięta jest dwoma znaczniejszemi pasmami, z których jedno wychodzi z głównego pasma podziałowego z pod Radoszyc (powiat koński), przy wsi Miedzierża i rozdzielając się na dwie odnogi, dochodzi do Zagdańska skąd podnosząc się coraz wyżej, a kierując ku Nowej-Słupi (pow. opatowski) i Opatowa, stanowi najwyższe punkta w Królestwie. Na północy bowiem wsi Krajna, wznosi się Łysica na 2104 stóp nad poziom Baltyku, blisko kościoła świętej Katarzyny, a na drugim końcu tego łańcucha, pod Nową-Słupią, Łysa, gdzie kościół świętego Krzyża, wysoka 2004 stóp, a poniżej legendowa statua kamienna. Drugie pasmo ciągnące się po wzniosłości Sandomierskiej, odczepia się od głównej linii pod Przedborzem i idzie na Małogoszcz i Chęciny. Najwyższą górą z tego grzbietu jest góra Zamkowa pod Chęcinami, wyniesiona na 1135 stóp nad poziom morza. Inne napotykane na tej wyniosłości wzgórza i wzniesienia, są gałęziami powyższych grzbietów, które około nich rozpościerają się, albo łączą z innymi grzbietami, lub też przechodzą w podniesione równiny.

Trzecia wzniosłość Krakowska, najdalej ku południowi wysunięta, zajmuje powiaty: olkuski, miechowski, pinczowski, będzińsk', część częstochowskiego i wieluńskiego. Grzbiet główny przebiegający tę przestrzeń poczyna się od Podgórza przedmieścia miasta Krakowa, idzie z południo-wschodu na północo-zachód przez Promnik, Ojców, Pieskową Skałę, Wolbrom, Pilicę, Ogrodzieniec, Kromołów, Żarki, Olsztyn, Mstów, odkąd zniżając się stopniewo i mijając Działoszyn, ginie w okolicach Wielunia. Najwyższe punkta tego pasma są około osady Skała (pow. olkuski) i Pilicy dochodzące od 1200 do 1600 st. wysokości nad poziom Baltyku.

Z dolin pośród tych gór położonych, na uwagę zasługuje dolina rzeczki Prądnika, bogata roślinnością, ciągnie się między ostremi ścianami skał od Ojcowa do Pieskowej Skały, a na niej znajduje się kilka skał znacznie wyniesionych o szczupłej podstawie, a między niemi szczególniej wyróżnia się jedna zwana Pałką Herkulesa, której miano to nadał pierwszy Franciszek Wężyk w swym poemacie „Okolice Krakowa.” Inni uczeni przyjęli tę nazwę, lud wszakże tak miejscowy jako i okoliczny nie zna jej wcale i dotąd po swojemu od wieków zowie ją skałą Sokolą, utrzymując iż rzeczywiście kiedyś gnieździły się na niej sokoły. Krajobraz doliny jest nader malowniczym i zajmującym, słusznie przeto znaną jest powszechnie pod nazwą: Polskiej Szwajcarii. Tu bowiem pośród nieskończonej odmiany najfantastyczniejszych obrazów i widoków, pośród awanturniczych kształtów i ugrupowań skał, wznoszących się w tej różnobarwnej dekoracyi, uderza wielkie bogactwo flory po brzegach strumieni, na łąkach i w lasach skalistych. Bogactwo które się tutaj przedstawia w tak wielkiej rozmaitości, z taką uderzającą wspaniałością barwy i z taką bujnością, jaką tylko na obszarach południowych stref spotykać można. Na bardzo małej przestrzeni, widzimy tu społem najrozmaitsze krzewy i zioła; a za każdem krokiem spotykamy nowy gatunek jakiej rośliny. Wszystko co tylko udaje się na wzgórzach i dolinach, co rośnie na suchym lub wilgotnym gruncie, co się znajduje w południowych lub północnych okolicach całego kraju, wszystko to łączy w sobie w jednę harmonijną całość dolina Prądnika. Jest ona niejako naturalnym rozsadnikiem bogactw i skarbów flory całej kongresówki. Z równin bardziej wyniosłych odznaczają się również malowniczem położeniem, góra przy Podzamczu w pobliżu Ogrodzieńca, gdzie ruiny zamku, wysoka 1473 stóp; skały około Olsztyna 1200 stóp wysokie, Mstowa i Mirowa.

Prawe Powiśle, wraz z lewą doliną Niemna zwana wzgórzystością lubelską, przedziela linja idąca na Uściług, Chołm, Lublin do Nowej Aleksandrii (Puław) na dwie części. Na północy tej linii rozciąga się nizina, a na południu okolice wzniesione gdzie niegdzie górzyste i przecięte wąwozami. Główniejszem pasmem tę część kraju przebiegającem, jest linia gór juro-kredowych wchodząca z Galicyi Austryackiej do Królestwa pod wsią Psianki w bliskości Tomaszowa Ruskiego i na długości szesnastu mil niedochodząc Urzędowa zakończona górą uważaną za najwyższą w całej okolicy. Grzbiet ten wyrzuca z siebie gałęzie z jednej i drugiej strony. Skierowane ku północo-wschodowi są znacznie dłuższe od idących w stronę południowo-zachodnią.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr, 57. Дозволено Цензурою, Варшава 9 (21) Сентября 1875 г. Wydawca i Redaktor, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

Amelią B. Edwards,

z angielskiego tłómaczona.

Tom drugi.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 50).

W te puste miejsca wstawili drewniane kloce, i za pomocą patentowanej szruby, maszyny nadzwyczaj silnej, tak ścisnęli paki, że trzecia cześć przestrzeni jaką zajmowały została opróżnioną. Tę próżnię napełnili bawełną i tę samą operacyą powtarzali dopóki wszystko tak nie było upakowane że mysz nawet niebyłaby mogła się tam wcisnąć. Drugi rząd podobnie ułożyli i ścisnęli i nareszcie, napełniwszy cały spód, pozamykali otwory. Każdy kącik niepotrzebny pomiędzy pomostami został równie zajęty bawełną i pokład nawet był okryty z przodu i tyłu pakami pozostawiając pomiędzy niemi tylko wąski przesmyk prowadzący do kajuty, miejsce na maszyny, i sam przód okrętu, drugi rząd trochę węższy został ułożony na pierwszym, a trzeci dokończył tej piramidy. Gdy paki były silnie przymocowane do pokładu, *Ptak Burzy* wyglądał jak okręt okryty dachem dla przepędzenia zimy na Oceanie Północnym.

De Benham przepędzał całe dnie na okręcie doglądając robotników, ale sypiał w hotelu i był tak obsypany zaprosinami, że mógłby był codzień zjadać po trzy lub cztery obiady pomiędzy piątą i dziewiątą po południu. Mieszkańcy Charleston gościnni i pełni zapału, przyjmowali cudzoziemców z otwartemi rękami i gorąco pragnęli żeby życzliwie się o nich wyrażano „z tamtej strony Oceanu.“

— Powiedz pan swoim współziomkom, mówiła śliczna, młoda dziewczyna, Dyana Ashby, jedna z trzech ładnych córek pułkownika Ashby, u którego De Benham był jednego wieczora na obiedzie, — powiedz twoim współziomkom, że widziałeś gwiaździstą chorągiew powiewającą nad Warownią Sumter, i że, czy nam dopomogą, lub nas opuszczą, nie ma na Południu, mężczyzny ani kobiety, którzyby nie byli gotowi umrzeć za honor tej chorągwi.

Takim w ogóle był zapał kobiet i taką także szalona odwaga mężczyzn. Po domach, po ulicach, w obozach wszędzie te same uczucia się objawiały, w nocy młodzi ludzie przechodzili przez miasto śpiewając pieśni patryotyczne; w dzień widać było ochotników udających się do wojska z rozpuszczonemi chorągwiami, i tłumy cisnęły się naokoło ulicznych mówców, zawsze licznych i gotowych wskoczyć na próżną pakę po cukrze, żeby przez godzinę rozprawiać oniczem.

Spokojnym i chłodnym Anglikom, zajętym interasami i praktyczną stroną życia, jak kapitatan i nadzorca ładunku *Ptaka Burzy*, mogło się wydawać, że nagle wyładowali wśród ludu, którego połowa była szaloną a wszyscy pijani.

Nareszcie gdy wszystko było gotowe, nadszedł dzień wyjazdu. *Ptak Burzy* zabrawszy swój zapas węgla, udał się do miejsca położonego trochę niżej jak Warownia Pinekney, żeby być przetrzesionym i odymionym, jak wymagały władze wojskowe od każdego okrętu opuszczającego port skonfederowany. De Benham nie mając ochoty być odymionym wraz ze swoim ładunkiem, był na obiedzie u pana Shirley, który mieszkał w miejscu nazwanem Hampstead, niedaleko od Charleston w ślicznej willi.

Przyjemnie zeszły te godziny; na obiedzie znajdowało się kilka osób, po większej części plantatorów i kupców i jeden wydawca dziennika z Charleston, ale wszyscy ochotnicy. Po obiedzie siedzieli na galeryi, paląc cygara, pijąc kawę i rozmawiając o wojnie, o polityce, o bawełnie jak zwykle bywa, dopóki dzwony kościoła Świętego Michała nie odezwały się z daleka, i nie wybiła ósma godzina. De Benham kazał o tej godzinie łódce okrętowej przypłynąć do schodów prowadzących z ogrodu pana Shirley do rzeki, wstał więc i pożegnał się.

Gospodarz odprowadził go do brzegu, gdzie zastali już łódkę i majtków odpoczywających na wiosłach.

— Nie prędko zapomnę to miejsce, powiedział De Benham, spoglądając na dom rysujący się na ciemnem tle drzew i na murawę rozciągającą się przed nim i okrytą kłąbami z kwiatów ponsowych, białych, różowych, niebieskich nad któremi unosiły się roje ognistych owadów.

— Gdyby nie ty panie Debenham, zdaje mi się że nigdy moja noga nie byłaby tu już postała, powiedział plantator. Mam słabe zdrowie i po trochu umierałem, kiedy mnie spotkałeś w Londynie. Miesiąc lub sześć tygodni jeszcze pobytu w Europie byłyby mnie zabiły.

To mówiąc starał się wcisnąć mały pugilares w rękę młodego człowieka.

— Co to jest? spytał De Benham, cofając się.

— Pięć tysięcy dollarów. Cena mojej podróży z Londynu.

De Benham potrząsł głową.

— Nie mam prawa, powiedział, w imieniu mego pryncypała, odmawiać zupełnie zapłaty za podróż, ale w żaden sposób nie mogę tak wysokiej sumy przyjąć. Wiadomości jakich mi pan udzieliłeś w Londynie były tak ważne, że gdybym był właścicielem okrętu, nie przyjąłbym ani grosza i znajdowałbym jeszcze, że jestem sowicie zapłaconym; gdy tak nie jest zapłacisz to co się rozsądnie należy za bardzo niewygodną podróż i nic więcej.

P. Shirley prosił i namawiał, ale napróżno.

— Przyjmiesz pan przynajmniej tysiąc dolarów dla pana Hardwicke i tysiąc dla siebie, powiedział, ofiarowawszy daremnie pięć, cztery i trzy tysiące dolarów.

— Wezmę dwieście pięćdziesiąt dolarów na rachunek pana Hardwicke, odpowiedział De Benham, a i to jest za wiele. Co do mnie, panie Shirley, mogę ci tylko podziękować za twoję gościnność.

Plantator zarumienił się.

— Jeżeli nie przyjmiesz pan jakiego małego dowodu mej przyjaźni, rzekł zdejmując pierścień z palca, będzie mi się zdawało, że cię obraziłem. Nie odmówisz mi tego?

De Benham wziął pierścionek nie spoglądając na niego i schował go do kamizelki.

— Nie, kiedy ma być dowodem przyjaźni, panie Shirley, powiedział z uśmiechem, a teraz do widzenia, bo dużo jeszcze będzie do czynienia przed wyjazdem, a musimy być za wałem przed północą.

— Do widzenia więc i niechaj szczęście panu towarzyszy.

Ścisnęli się za ręce serdecznie i rozstali się. De Benham wskoczył do łódki, marynarze pochylili się nad wiosłami i łódka poleciała jak gdyby ptak morski.

Nazajutrz rano, kiedy sobie przypomniał pierścionek i wyjął go z kieszeni, ujrzał przepyszny brylant, wielkości dużego grochu, czysty jak kropla rosy i błyszczący jak kawałek słońca oderwany z nieba.

O wpół do jedenastej, jak zapowiedziano *Ptak Burzy* wolno płynął w kierunku wyspy Morris.

Księżyc, którego była teraz pierwsza kwadra, zachodził trochę po jedenastej, sternik więc tak wszystko urządził, żeby się prześliznąć trochę przed północą za pomocą odpływu morza, i korzystać z kilku godzin nocy jakie im jeszcze pozostaną, żeby tak daleko ujść jak cała siła maszyn będzie ich mogła doprowadzić.

Niebo było jasne, i jakby okryte mozajką brylantową z niezliczonych gwiazd; zostawili za sobą Zamek Pinekney, a na prawo Warownię Johnson, potem długi biały front Warowni Moultrie, wyglądającej jak mieszkanie duchów przy świetle księżycowem, i nareszcie warownię Sumter, ciemną i odosobnioną wśród szerokiej rzeki, jakby olbrzymi okręt na kotwicy.

Morze zaczęło odpływać szybkim prądem, księżyc zachodził, niedługo znikł, łagodne, srebrzyste pół światło okryło powierzchnię wody i jakby przenikało całe powietrze, tak że noc nie była nocą ale raczej ciemnym zmrokiem. O północy szybko zbliżali się do ujścia, zostawili za sobą wyspę Morris i baterya z worków piasku, pod któremi, przyjeżdżając, zarzucili kotwicę, ujrzeli morze, i o kilkaset łokci po za wałem, przepływających poważnie tam i nazad, sześć lub osiem ciemnych olbrzymów, jakby szyldwachów na warcie.

To samo przykre oczekiwanie, to samo milczenie, ta sama baczność jak w przódy panowały na okręcie. Wolno i ostrożnie, gdy głuche uderzenia jego szrub odzywały się jak bicie niespokojnego serca, *Ptak Burzy* kierował się ku wałowi i ku temu samemu miejscu pomiędzy admiralskim okrętem i pierwszym statkiem od strony lądu. Ciche rozkazy sternika syczały wśród spokojnej nocy; kapitan stał milczący z rękami skrzyżowanemi na piersiach, z oczami utkwionemi w okręty federalne; czasem słyszano słaby jaki odgłos w komórce maszyn, czasem iskierka wyleciała z komina. Nareszcie *Ptak Burzy* zanurzył się w ponure bałwany, a że morze już odpływało, obtarł się zatreszczał przepływając wał ale go przepłynął, i gdy po cichu został wydany rozkaz:— Naprzód, co siły! poleciał, jakby szukając niebezpieczeństwa i mniej ufając możliwości ujścia niepostrzeżenie, jak szybkości i śmiałości swojej.

Zaledwie jednak przeszedł pomiędzy obydwoma okrętami i był po za linią blokady, raca ukazała się wśród ciemności, druga jej podowiedziała z dalszych okrętów i zaraz po nich odezwał się przedłużony huk wystrzału armatniego.

— Wypuścić go! krzyknął sternik, bo wszelka ostrożność była już zbyteczną. Wszyscy rzucili się ku maszynom, para cisnęła z całych sił, szruby robiły siedemdziesiąt obrotów na minutę, i *Ptak Burzy* pędził jak szalony prując bałwany i zostawiając za sobą spienioną ślad na wodzie.

Niedaremny był ten pośpiech, wśród blokującej eskadry ukazał się mały czarny lecz niebezpieczniejszy powierzchowności statek, wyrzucając strumień czerwonych iskier ze swego komina, drugi się wysunął z miejsca skąd pierwsza raca była puszczoną i polowanie na dobre się rozpoczęło.

— Kanonierki, na Boga! zawołał kapitan, i zaledwie wymówił te słowa, dwa strzały się odezwały, z których jeden przeleciał ponad przód okrętu i wpadł w morze z ukosa.

— Przenieść trochę tej bawełny na środek! zawołał sternik, uderzając nogą o pokład.

W tej chwili wszyscy majtkowie, którzy nie byli zajęci na dole rzucili się wraz z kapitanem i z De Benhamem na paki bawełny i kilkadziesiąt ich przenieśli na około komina. Szruby zanurzyły się głębiej a z tem powiększeniem ciężaru nastąpiło zaraz powiększenie szybkości i pomimo, że tak był obładowany, *Ptak Burzy* ze swemi dwoma potężnemi maszynami, dzielnie się wysługującemi, z kotłami zaledwie nie pękającemi pod okropnem ciśnieniem pary, pokazał niedługo, że potrafi sobie dać rady. Kanonierki się posuwały ale śmiały okręt za każdym obrotem szrób oddalał się od nich; strzelały, ale kule padały coraz dalej od celu, ciemne ich zarysy zatrzymały się przez chwilę, po trochu zmniejszyły się, niepewne się stały, nareszcie znikły w ciemnościach. *Ptak Burzy* sam został na szerokiem morzu, zdążając ku Nassau.

ROZDZIAŁ II.

Listy z domu.

W czterdzieści pięć godzin po przejściu wału morskiego pod Charleston, to jest koło wpół do jedenastej, wieczorem drugiego dnia, *Ptak Burzy* znów zarzucił kotwicę, wśród bezpiecznego dla niego portu w Nassau, ujrzawszy i ominąwszy kilka okrętów po drodze, ale nie doznawszy już żadnych przeszkód. P. Zacharyasz Polter odebrał w tej chwili drugą połowę swej skromnej zapłaty i pomimo spóźnionej godziny, udał się natychmiast na ląd, żeby się opowiedzieć ukochanej małżonce i oddać jej w opiekę swoje trzysta siedemdziesiąt pięć funtów, a kapitan, nadzorca ładunku i załoga, po urządzeniu straży okrętowej, usnęli i spali tak jak śpią ludzie, którzy przez trzy dni i dwie noce nie zmrużyli oka.

Dzień następujący był pełnym zajęć. Urzędnicy komory, przyjechali zaraz po wschodzie słońca, a gdy tylko opuścili okręt, De Benham kazał spuścić łódź i wylądował. Poszedł wprost na pocztę, gdzie zastał cztery listy czekające na niego, jeden od Lady De Benham, jeden od pana Hardwicke, jeden od Arcybalda Blyth, a czwarty od dawnego kolegi nazwiskiem Franz Kielmann, napisany drobnem i niewyraźnem niemieckiem pismem, na cieniutkiem papierze i mający na kopercie znak pocztowy z Zollenstrasse. Otworzył naprzód list matki, długi, czuły, niespokojny, nie miał wtedy czasu odrazu go przeczytać, ale zobaczywszy że zdrową była, wziął list pana Hardwicke, zwięzły ale zadawalający i następującej osnowy:

Londyn.—Lipca 1861.

Kochany Panie Debenham!

Odebrałem list twój z dnia—tego miesiąca. Co do propozycyi w nim zawartej, mogę tylko powiedzieć, że wolę ci pozostawić zupełną swobodę działania, tak jak ci się będzie wydawało najlepiej i najrozsądniej i jak okoliczności nakażą. Gdybyś szczęśliwie powrócił do Nassau i życzył sobie drugą wyprawę przedsięwziąć przed powrotem do Anglii, masz zupełne upoważnienie tak uczynić. Możesz w takim razie złożyć bawełnę na składzie na kilka tygodni w Nassau, i jeżeli natychmiast napiszesz po odebraniu tego listu, wyprawię zaraz okręt żaglowy dla przewiezienia podwójnego ładunku (to jest 4000 pak) do Liwerpool. Statek nasz *Sabrina* powracający właśnie z Odessy, będzie na to przydatnym i będzie mógł zabrać towary jakichbyś sobie życzył, gdybyś postanowił trzeci raz udać się do Ameryki. Tymczasem będziesz łaskaw odesłać wszystkie wexle i t. p. odebrane w Charleston lub gdzie indziej."

Gdybyś postanowił zaraz przedrzeć się przez blokadę, potrzebowałbyś nowego ładunku złożonego z przedmiotów jakie najlepiej popłacają, ale sądzę, że ich będziesz mógł dostać w Hawannie.

Oczekując z niecierpliwością dalszych wiadomości, kończę zasyłając najlepsze życzenia powodzenia i zdrowia i pozostaję kochany Panie Debenham i t. d.

Jakub Hardwicke.

Był to list bardzo zadawalający i p. Hardwicke nie mógł napisać nic, coby więcej stosowało się do zamiarów i życzeń De Benhama, Dwa razy go odczytawszy, młody człowiek schował go do pugilaresu, a oddarłszy z tego ostatniego, kawałek papieru, na prędce skreślił ołówkiem następujące słowa:

Kochany Kapitanie Hay,

Odebrawszy w tej chwili list od Pana Hardwicke, wypada mi koniecznie ułożyć się co do wyładowania okrętu w jak najkrótszym czasie, zapewne jutro, żebyśmy byli w stanie wypłynąć stąd przy końcu tygodnia.

T. D.

Złożywszy bilecik oddał go majtkowi powracającemu wraz z łodzią do okrętu i zaraz zaczął działać podług upoważnienia, zostawiającego mu zupełną swobodę, które z taką przyjemnością odebrał i tak czynnie skorzystał z niego, że nietylko potrafił wieczorem ukończyć wszystkie układy co do złożenia na składzie i wyładowania swego towaru nazajutrz rano, ale znalazł jeszcze czas dla napisania długiego listu do pana Hardwicke. Opisał mu wszystko co się zdarzyło od czasu jego wyjazdu z Nassau, dołączył rachunek swoich czynności i wszystkie wexle i rachunki jakie przywiózł z Charleston, a do poczta właśnie tego wieczora odpływała do Anglii, naprędce napisał kilka słów do matki, donosząc jej że był zdrów, ale że nie powróci jak za kilka tygodni.

Tymczasem całe Nassau wyległo, żeby obejrzeć *Ptaka Burzy*, który, jeżeli zwracał uwagę gdy pierwszy raz ukazał się na wodach, godniejszym jej był jeszcze teraz kiedy był otoczony aureolą powodzenia. Łodzie i statki różnych rozmiarów napełnione ciekawymi, młodymi i starymi, czarnymi i białymi, mężczyznami, kobietami i dziećmi krążyły naokoło niego gdy stał na kotwicy na środku i portu, ale że nikomu nie dozwalano wejść na okręt i że zabroniono załodze wyładować, ciekawość publiczna musiała się tylko zadowolić patrzeniem.

Kiedy czynności tego dnia zostały już ukończone i kiedy powróciwszy do okrętu, De Benham rozmówił się z kapitanem co do swoich zamiarów, znalazł nareszcie czas przeczytania spokojnie, w swojej kajucie, reszty swoich listów. Zaczął od Lady De Benham. Prosił ją kiedy wyjeżdżał, żeby się przeniosła do przyjemniejszej części Londynu, ale dowiedział się że zajmowała jeszcze swoje dawne mieszkanie.

— Życzyłeś sobie, pisała, żebym zamieszkała w bliskości parków, ale jakążbym przyjemność tam znalazła bez ciebie? Czyż mogę większych wygód używać kiedy ty, drogi mój synu, wystawiasz się na niebezpieczeństwa i na niedostatek? nie, mój kochany, dopóki nie powrócisz i nie zaprzestaniesz tych dalekich podróży, wolę pozostać w moim spokojnym kąciku, zapominając o świecie i od niego zapomniana. Wczoraj uporządkowałam na nowo twoje szuflady, twoje książki i nuty. Stolik twój do pisania czeka na ciebie i róże stoją na nim w wazoniku; wszystko tak wygląda jakbyś tylko wyszedł na parę godzin i miał wrócić na herbatę. Wiem, że to dzieciństwo, ale mi miłem jest, chociaż smutną mnie robi. Długi to był list i z każdego słowa tchnęło najżywsze przywiązanie; młody człowiek ucałował go, nim go złożył i rzekł półgłosem:— Droga, ukochana matka nie ma drugiej jak ona na świecie.

Przeczytał potem list Arczy, napisany w kantorze, jak znać było po papierze i pieczątce.

Londyn,—Lipca 1861.

Kochany mój stary przyjacielu!

Czekamy wszyscy z największą niecierpliwością na twój list. Stary Tim Knolt trzęsie łysą głową i od rana do wieczora straszy nas najokropniejszemi przepowiedniami, kuzyn Jakub spoważniał, a wszyscy czytamy wiadomości z Ameryki, jak gdyby od nich zależała cała pomyślność naszego domu, a my w kantorze zakładamy się ciągle o ciebie; ja naturalnie za tobą, więc, chociażby tylko dla mojej przyjemności, powinieneś stamtąd szczęśliwie się wydobyć. Nadszedł czas mego sześcio-tygodniowego urlopu, ale nie wiem co z nim zrobić, ani gdzie pojechać, nudno zawsze będzie bez ciebie. Karol Bennet jedzie do Szwajcaryi i prosił mnie żebym mu towarzyszył, ale kosztowałoby to trzydzieści funtów, a nie mam ich. Bennett który sto funtów więcej na rok odemnie pobiera, oprócz tego co zarabia pisząc teatralne recenzye do *Spadającej Gwiazdy* może sobie tego pozwolić, ale nie ja Arczybald Blyth.

Wilson się żeni, i składamy się żeby mu ofiarować serwis do obiadu i do herbaty. Jenes i kilku innych chcieli mu dać srebrny kałamarz, ale co za przyjemność może sprawić srebrny kałamarz człowiekowi, który przez cały dzień macza pióro w ołowianym kałamarzu w kantorze kupca? Ciotka Protheroa umarła gdzieś w Szkocyi i zostawiła mu kupę pieniędzy. Przypominasz sobie Protheroa? Siedzi przy tem samem biurku co ja, czerwony, z długiemi nogami i oczami na wierzchu jak u raka, ale dobry chłopiec i każdy z nas cieszy się jego szczęściem.

Ale boję się, że te wszystkie wiadomości nie bardzo cię zabawią; tak mało bywałeś w kantorze i połowy nas nie znasz, nawet z widzenia.

Hardwickowie pojechali do Hardwicke-Hause, w hrabstwie Kent; jestto wielki i starożytny zamek z wieżyczkami i kiedyś należał do jakiegoś ulubieńca Królowej Elżbiety. Kuzyn Jakub jest tam wielkim panem i pełno ma gości w jesieni. Przed wyjazdem, przeszłego tygodnia dali wielką fetę w ogrodzie i zaprosili mnie. Pełno było osób, a pomiędzy niemi Lord Stockbridge, chodzący za Klaudyą, jakby jej cieniem był. Ma przynajmniej trzydzieści lat więcej od niej i wygląda na człowieka znudzonego i zużytego; pomimo to zdaje mi się, że się skończy na tem, iż się pobiorą.

Dostał dla niej zaproszenie na wielki bal kostiumowowy, niedawno temu. Wyobrazisz sobie, jaki to przepych musiał być, kiedy Książę tam się znajdował. I Klaudya była tak ślicznie ubrana i tak piękna, że Jego Książeca Mość zapytał się podobno pani domu co za królowę miała pomiędzy swemi gośćmi.

Nie dziwiłbym się gdybym się dowiedział że będzie przedstawioną u dworu.

Nie miałem jeszcze odwagi być u pani Debenham od twego wyjazdu. Gdybym myślał że mogę jej przyjemność sprawić, byłbym gotów wszędzie pójść i wszystko zrobić, ale tak się obawiam być natrętnym. Wiem jednak że jest zdrowa, bo się ciągle wczoraj wieczór dowiadywałem, chociaż nie wszedłem.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57. Дозволено Цензурою, Варшава 9 (21) Сентября 1875 г.